ROK X. WRZESIEŃ 1934. Nr. 9.

WIARĄ I CZYNEM!

PRO CHRISTO!

MIESIĘCZNIK MŁODYCH KATOLIKÓW.

REDAKTOR I WYDAWCA: KS. MARJAN WIŚNIEWSKI M.I.C.

Redakcja: Warszawa, Praga, ul. Wileńska 63.

P. K. O. 10.115 Telefon 10.21.36

Biuro i telefon redakcji czynne w dni powszednie od g. 10 do 12.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Warszawa, Podwale 4.

Telefon 615-95.

Administracja czynna od g. 9 rano do 7 wieczór.

W sprawach prenumeraty prosimy zgłaszać się do Administracji.

TREŚĆ.

PRO CHRISTO.

„Aby byli jedno"!

Kto najgoręcej pragnął, abyśmy się nawzajem kochali i w świętej jedności żyli i pracowali?

Ten, który, idąc na krzyż, modlił się usilnie do Ojca Niebieskiego *„aby wszyscy byli jedno"*, a uczniom swoim powtarzał kilkakrotnie swój Nowy Testament: *„miłujcie się nawzajem... po tem poznają ludzie, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu... bądźcie jedno, jako ja z Ojcem jedno jesteśmy"*.

Kto tę jedność rozbija i na miejsce miłości szczepi w serca nienawiść?

Szatan i jego wysłańcy.

Udaje mu się. Przeżywamy piekło na ziemi. Ale nie zwycięży.

Modlitwa Chrystusowa będzie wysłuchana i *„stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz"*.

Wykluczeni będą tylko siewcy nienawiści. Niema dla nich miejsca w rodzinie Bożej.

Czy może się kto namyślać, na którą stronę się skłonić: ku miłości Chrystusowej, czy ku szatańskiej nienawiści?

My się nie wahamy!

W zeszycie lipcowym 1926 r. „Pro Christo" w artykule: „Co robią księża" poruszyliśmy po raz pierwszy sprawę *„Powszechnego Związku Kapłanów Przyjaciół Serca Jezusowego"*, a uzupełniliśmy nasze uwagi we wstępnym artykule zeszytu styczniowego 1927 r.

Ktoś z poważniejszych zrobił nam uwagę, że J. Em. Kardynał Hlond, Prymas Polski, jest niezadowolony z tych artykułów, gdyż nasze wysuwanie nowej organizacji *„L'Alliance Sa-*

cerdotale Universelle des Amis du Sacré-Coeur", podkopuje zalecaną usilnie przez niego *„Unję Apostolską Kapłanów Świeckich Serca Jezusowego"*.

Nie miałem czasu i sposobności do stwierdzenia rzeczywistych poglądów Ks. Prymasa na tę sprawę, gdyż w sierpniu nastąpił mój wyjazd do Ameryki i pięcioletnia przerwa w redagowaniu „Pro Christo".

Uczyniłem to dopiero w przeszłym miesiącu i na skutek osobistej rozmowy z Jego Eminencją Prymasem Polski, poruszam tę sprawę na nowo.

Eminencja oświadczył, że nigdy się nie oświadczał przeciw „Związkowi Przyjaciói Serca Jezusowego", gdyż zna dobrze to dzieło, zapoczątkowane we Włoszech, pochwala je, poleca i uważa, że przeszczepienie go do Polski da kapłanom naszym szerszą możność wyboru.

Możemy więc ze spokojnem sumieniem zabrać głos powtórnie, przypominając, cośmy pisali w roku 1926 i 1927 i snując na tej podstawie dalsze wnioski.

Czynimy to otwarcie w piśmie, przeznaczonem nie dla samych tylko księży, ale dla ogółu katolików, gdyż nie mamy nic do ukrywania i uważamy za pożyteczne, aby myślący katolicy wiedzieli, jakie są zadania Kościoła i jakie czyni się usiłowania ku powszechnej reformie życia.

My kapłani nie uchylamy się od tej reformy, owszem wyznajemy szczerze wobec przyjaciół i nieprzyjaciół, że i w naszych szeregach niejedna rzecz wymaga naprawy. Cała historja Kościoła jest nieustannym wysiłkiem doskonalenia się i wznoszenia ku wyżynom. Kościół katolicki nigdy nie mówi: „Ponieważ jest źle, niech będzie jeszcze gorzej, zstąpmy z wyżyn ideału", lecz przeciwnie, wierząc w moc łaski Bożej i w lepsze pierwiastki natury ludzkiej, tem usilniej przypomina ludziom ideały Ewangelji, im bardziej od nich odstępują.

I kończy zawsze zwycięstwem.

Tak będzie i dzisiaj.

Przyjaciele Serca Jezusowego.

Rzecz zadziwiająca i pocieszająca zarazem, że w tych ciężkich czasach, kiedy Kościół jest wystawiony na zdwojone ataki piekła, Duch św. wzbudza w nim dusze czyste i święte, które się modlą i poświęcają za kapłanów, stanowiących czoło armji Chrystusowej.

Do takich należała w ostatnich czasach Gemma Galgani, Teresa od Dzieciątka Jezus, do nich zalicza się również matka Ludwika Małgorzata de la Touche, zmarła 14 maja 1915 r. w małym klasztorku, kolebce swego zgromadzenia, pod Turynem. Wymodloną przez nią myśl *„Powszechnego Związku Kapłanów Przyjaciół Serca Jezusowego"*, zaczyna już wydawać zbawienne owoce.

Ojciec św. Pius XI udzielił kierownikowi i członkom Związku serdecznego błogosławieństwa, nazywając dzieło przez nich rozpoczęte, sprawą najwyższej wagi, dla której *„wszystkie żywotne siły Kościoła pod kierunkiem Najwyższego Pasterza nieustannie, i z całym zapałem winny być poświęcane"*.

Świątobliwa założycielka Zgromadzenia Sióstr Betanji Najświętszego Serca Jezusowego napisała w tej materji trzy dzieła: *Le Sacré-Coeur et le Sacerdoce* (na rozkaz swego spowiednika i przełożonej), wydane jeszcze za jej życia; *Traité de l'Amour Infini*, niedokończone ale wydane według rękopisu; *Appel aux Prêtres*, wezwanie do kapłanów napisane na rozkaz biskupa dla rozpowszechnienia idei Związku.

Zrażeni jesteśmy do „mateczek" z powodu niemądrej sekty mankietników, ale musimy pogodzić się z faktem, że w dziele apostolstwa Najświętszego Serca Pan Jezus powierzył znaczną część trudu niewiastom. Możemy być tylko wdzięczni za tę pomoc.

I.

Początki dzieła.

Dnia 6 czerwca 1902 r. podczas oktawy Bożego Ciała matka Ludwika Małgorzata, zgnębiona i smutna, modliła się przed Najświętszym Sakramentem wraz ze swoim małym nowicjatem, błagając Pana, aby zechciał dać jej kilka dusz, któreby mogła wychować dla Niego.

Posłyszała głos wewnętrzny: *„Dam ci dusze kapłanów"*.

Zdumiona, sama nie wiedziała, co o tem sądzić.

Na drugi dzień, 7 czerwca, posłyszała w duszy: „Małgorzata-Marja ukazała moje Serce światu, ty *ukaż je moim kapłanom; pociągnij ich wszystkich do Serca mojego"*.

Modląc się po Komunji św. 10 czerwca, rzekła do Pana: „Zbawicielu mój, gdy nasza błogosławiona siostra ukazała Twoje Boskie Serce światu, kapłani widzieli je również, czyż to nie wystarczy?" — *„Chcę teraz okazać się im specjalnie"* — odpowiedział Jezus. Następnie dał jej zrozumieć, że pragnie teraz zapalić świat Swoją miłością, a do tego potrzebni są kapłani, pełni miłości.

Rozmyślając nad tem 13 czerwca, sądziła, że trzeba pewnie utworzyć dla kapłanów specjalną Straż Honorową Najświętszego Serca, ale Pan Jezus dał jej wówczas zrozumieć, że pragnie mieć w kapłanach nie tyle adoratorów, ile raczej bojowników swej miłości. Zapisując się pod sztandar Króla Miłości, zobowiążą się utworzyć zwarty hufiec, mający jedno serce i jedną duszę, głosić Miłość i Miłosierdzie, nie przeszkadzać lecz pomagać sobie we wspólnej pracy.

„Zdaje mi się — pisze — *że Pan nasz chce, abym powiedziała, że duch tego dzieła winien być duchem miłości i miłosierdzia, którzyby podnosił dusze ponad ziemię, odrywał je od widoku błota, a wznosił na wyżyny Nieskończonej Miłości, słowem — uświęcał kapłana i czynił go przez miłość drugim Jezusem Chrystusem"*.

We wrześniu 1904 r. przyszły jej na myśl wątpliwości, czy Kościół zatwierdzi to dzieło, które wydaje się czemś zupełnie nowem.

Radziła się Pana w modlitwie i zrozumiała, że duch rodzinny, łączący kapłanów między sobą, istniał od zarania Kościoła: Apostołowie skupiali się około Chrystusa, kapłani żyli przy swoim biskupie, o ile możności w jego domu, tworząc jedną rodzinę, której on był ojcem.

„Duch świata, który usiłuje nieustannie rwać węzły miłości i dzielić, aby łatwiej mógł niszczyć, wprowadził powoli większe odosobnienie. Duch rodzinny częściowo zaniknął i nie ujawnia się obecnie w kapłaństwie w tym stopniu, jak w pierwszych wiekach Kościoła. Tego ducha chce Jezus wskrzesić. On chce, aby duch jedności panował między wszystkimi wiernymi, a przedewszystkiem między Jego kapłanami. Nowe dzieło ten cel ma na względzie. Dzieło to, zależne bezpośrednio od Papieża i od niego otrzymujące ruch i życie, zjednoczy kapłaństwo i niby łańcuchem niezmierzonym serc kapłańskich otoczy dusze chrześcijańskie, strzegąc je od błędów, chroniąc od złego, broniąc przed szatanem, który je prześladuje".

W kilka lat później matka Ludwika - Małgorzata była zmuszoną jeszcze ściślej wyrazić swoje myśli w listach do biskupa i spowiednika. Uderzającą jest jej pokora i zupełne zdanie się na sąd Kościoła.

Oto kilka wyjątków z jej listów.

Dnia 10 października 1910 r. pisze do biskupa: *„Powiem z prostotą Waszej Ekscelencji, że zdaje mi się, jakoby Jezus chciał dzieła, któreby łączyło kapłanów dobrych, wiernych, przywiązanych do zdrowej nauki i skupiało ich dokoła swego Biskupa w każdej diecezji i żeby wszystkie diecezje były związane i zgrupowane razem dokoła Papieża, a siedziba znajdowała się tam, gdzie się znajduje Papież. Kapłani należący do tego dzieła (które nie będzie tylko dziełem modlitwy, jak O. Eymarda, lecz organizacją czynu) pracować będą... nad rozszerzeniem miłości względem Pana*

naszego Jezusa Chrystusa, Boga-Człowieka, i wierności względem Kościoła i Papieża".

Dnia 16 grudnia 1913 r. w liście do swego biskupa pisze jeszcze jaśniej, że dzieło to nie powinno być jednym więcej nowotworem, dorzuconym do licznych już organizacyj kapłańskich, lecz *„węzłem powszechnej miłości, którytby łączył wszystkie inne dzieła i spajał całkowicie wszystkich kapłanów na całym świecie"*.

II.

Duch dzieła.

Na rozkaz swego biskupa matka Ludwika - Małgorzata wyłożyła swe myśli w dziele *Traité de l'Amour Infini,* pisanem od czerwca 1913 r. do lutego 1914 r. Nie zdążyła go wykończyć, Pan ją powołał do siebie. W pierwszej części mówi o posłannictwie kleru w naszej epoce i tam są myśli, które nas najżywiej obchodzą.

W naszych czasach ujawniają się pewne ogólne dążenia, które ogarniają lądy i ludy nawet najbardziej od siebie oddalone, co można wytłumaczyć łatwością komunikacji i szybkością, z jaką wszelkie idee rozpowszechniają się w całym świecie.

a) Jednem z takich dążeń, nie dającem się zaprzeczyć, jest **sceptycyzm, który dotknął umysły wszystkich ludow.** Choroba wątpienia stała się ogólna. *„Wątpią nietylko starcy, zniechęceni próbami długiego życia, nietylko ludzie w pełni sił męskich, których walka o byt albo sytość rozkoszy pogrążyły w materji, nietylko młodzież porwana wirem namiętności, ale nawet dzieci na ławie szkolnej czują, jak zaraza powątpiewania ogarnia ich młode umysły. Jest to trucizna, która dokonywa powoli dzieła rozkładu moralnego we wszystkich narodach, gangrenując umysły i wydając je bezsilne i bezoporne na pastwę gwałtownych popędów natury.*

Prawda, że niektóre umysły szukają jeszcze z miłością nadprzyrodzoności, czują potrzebę wiary w coś, co przewyższa

ich pojęcie, lecz zamiast szukać zaspokojenia tego głodu w Prawdzie Objawionej, wskrzeszają stare zabobony i przesądy, które światło Ewangelji dawno rozproszyło, wznawiają fałszywe systematy starożytnych filozofów, nad któremi prawda chrześcijańska już zatriumfowała, wreszcie rzucają się na niedyskretne i grzeszne praktyki spirytyzmu, hypnotyzmu, okultyzmu".

b) **Wykolejenie umysłów pociągnęło za sobą wykolejenie woli.** *„Człowiek powinien przedewszystkiem kochać Boga swojego Stwórcę i Ojca... Niestety, widzieliśmy przed chwilą, że sceptycyzm, obojętność, niekiedy nienawiść zniszczyły w nim to Boskie uczucie.*

„Powinien kochać tych, którzy mu dali życie, a tymczasem iluż niewdzięcznych synów porzuca teraz dom ojcowski, iluż żądnych niezależności wyzuwa się z wszelkiej czci i wdzięczności dla tych, którzy ich obsypali dobrodziejstwami?

„Człowiek powinien kochać swych braci i całą ludzką rodzinę, a tu jakiż widok uderza nasze oczy? Walka klas, rozdarcie społeczeństwa, pięcie się w górę, spychanie wyżej stojących, deptanie słabszych.

„Człowiek powinien kochać swoją małżonkę, duszę wybraną i dobrowolnie zaślubioną, kość z kości swoich, ciało z ciała swego. Niestety, rozwody potargały w wielu narodach węzły małżeńskie, a namnożyły związków, których nie uświęca błogosławieństwo Boże, związków bez podstaw nadprzyrodzonych, pozbawionych godności i stałości, wydanych kaprysom namiętności.

„Powinien kochać dzieci, bogatą koronę radości dokoła swego ogniska, nadzieję i podporę starości; powinien je wychowywać w poczuciu honoru i cnoty, rozwijać w ich sercach miłość, która czyni człowieka odważnym i wiernym, pielęgnować w ich umysłach te wielkie prawdy, które czynią człowieka prawdziwie oświeconym i szczerym.

A cóż widzimy? Nawet miłość rodzicielska poniżyła się

i zeszła na manowce: liczba dzieci maleje, rodzina się kurczy zarówno jak serca w obawie trudów i skrępowania.

„Tak więc umysł i serce są zatrute, umysł i serce wymagają odrodzenia dziś taksamo, jak przed laty stu, tysiącem, dwudziestu wiekami...

„Zapamiętajmy sobie dwa szczegóły, charakteryzujące naszą epokę:

1. Powszechność tych samych dążeń i prądów, tych samych błędów i słabości wśród rozmaitych ludów wymaga od kleru powszechnej jedności umysłu i serca, bez której niemożliwa jest jedność działania.

2. Wysuszenie umysłu czyli sceptycyzm pochodzi z wysuszenia serca czyli egoizmu, zatem chcąc zdobyć umysły trzeba pozyskać serca. Stąd to *formą obecną apostolstwa kleru musi być miłość i poświęcenie siebie* bez rachuby i bez granic, powtórne, nowe oddanie się Bogu, Kościołowi, duszom, dokonane z całą świadomością i wolą zdecydowaną *po wszystkich dotychczasowych trudach, zawodach, goryczach.* Będzie to może dar mniej entuzjastyczny, niż pierwszy, w dzień uroczystej prymicji ale za to bardziej dojrzały, płynący z cnoty weterana.

III

Organizacja dzieła.

Ustawy zasadnicze.

Zarys ustawy został naszkicowany w styczniu 1914 roku, ogłoszony drukiem w 1918 roku uzupełniony i wydany w 1922 r. w osobnej broszurce p. t. *„L'Alliance Sacerdotal Universelle des Amis du Sacré-Coeur".—Sox origine—Sox esprit—Sox organisation.* Turin, Pierre Marietti, 1922 p. 54.

1. Cel Dzieła. *„Związek Powszechny Kapłanów Przyjaciół Najświętszego Serca Jezusowego"*, nazwany tak dla uczczenia słów Jezusa Chrystusa, wyrzeczonych do apostołów: *„Już was nie będę zwał sługami... lecz przyjaciółmi swymi"* (Jan, XV, 14—15), ma na celu:

a) Skupić wszystkich kapłanów całego świata przy Najświętszem Sercu Pana naszego Jezusa Chrystusa i przeciwstawić tę armję wybraną błędom i zepsuciu naszych czasów;

b) Przywrócić i rozwinąć w kapłaństwie ducha rodzinnej miłości i solidarności, utrwalić jedność myśli i bardziej jednolity sposób działania;

c) Przyczynić się do uświęcenia osobistego członków Związku przez istotne i praktyczne nabożeństwo do Pana naszego Jezusa Chrystusa i Jego Najświętszego Serca, owego tabernakulum Nieskończonej miłości, a następnie do uświęcenia dusz przez spotęgowanie i należyty kierunek ducha apostolskiego.

2. D u c h D z i e ł a. Kapłani, uczestniczący w tem Dziele, wchodząc w potężny i wspaniały ruch, zapoczątkowany przez Piusa X, przedsiębiorą pod przewodnictwem swych biskupów i kierownictwem Stolicy Świętej *„odnowić wszystko w Chrystusie"*.

Słowem, czynem, pismem, a nadewszystko przykładem życia, wzorowanego na życiu Jezusa Chrystusa, Wiecznego Kapłana, walczyć będą mężnie przeciwko wszystkiemu, co mogłoby zagrażać jedności Kościoła, jego całości i chwale. Czystością nauki i niezachwianem przywiązaniem do Stolicy Piotrowej, karnością życia i siłą cnoty członkowie usiłować będą stać się prawdziwie *„światłością świata i solą ziemi"*. (Mat., V, 13—14). Będzie w nich jedno serce i jedna dusza według słów naszego Pana, wyrzeczonych do Ojca niebieskiego: *„aby byli jedno, jako my jedno jesteśmy"*. (Jan, XVII, 22); zachowają pilnie jedność wiary w związku braterskiej miłości.

3. O r g a n i z a c j a D z i e ł a. Dzieło to miało skromne początki; ponieważ wsparte błogosławieństwem Stolicy Apostolskiej rozwija się i zgodnie ze swoim celem staje się p o w s z e c h n e m, słuszną byłoby rzeczą, aby główną siedzibę miało w Rzymie, skąd mogłoby promieniować na cały świat katolicki.

Przeznaczone na to, aby się stać powszechnem, a wskutek tego zmuszone dostosować się i nagiąć do wszystkich umysłów, do wszystkich miejsc i zwyczajów, dzieło to powinno być bardzo prostem i bardzo szerokiem w swej organizacji.

W każdej diecezji członkowie Dzieła zbierać się będą dwa razy do roku pod przewodnictwem swego biskupa, o ile to będzie możliwe. Na pierwszem zebraniu dorocznem wybiorą według swej liczebności czterech, pięciu albo więcej współbraci, którzy przez cały rok będą obowiązani wspomagać, odwiedzać, wspierać duchowo lub materjalnie tych braci, którzy się do nich zwrócą. Na tych zebraniach rozważać będą wszystko, co dotyczy ducha Dzieła, a Sekretarz zapisze wszystkie ważniejsze sprawy, jakie zostaną poruszone.

4. Warunki przyjęcia. Kapłani, którzy zapragną przystąpić do tego Dzieła, powinni skierować swą prośbę do Dyrektora diecezjalnego, przesyłając mu swe imię, nazwisko i adres oraz zaznaczając, czy należą i do jakiej mianowicie organizacji kapłańskiej. Powinni być wolni od wszelkiego zarzutu pod względem czystości nauki katolickiej i odznaczać się życiem nieskazitelnem i budującem. Winni być zdecydowani zachować wiernie, ile możności, praktyki organizacji.

5. Obowiązki. Kapłani, należący do Związku, zobowiązują się:

a) Uczynić w dniu swego wstąpienia do Związku akt zupełnego poświęcenia się Nieskończonej Miłości w zjednoczeniu ze wszystkimi braćmi według przyjętej formuły; poświęcenie to będą odnawiali w każdy pierwszy piątek miesiąca, a nawet radzi się, aby to czynili codziennie pod koniec dziękczynienia po Mszy Świętej;

b) Rozszerzać w obrębie swej działalności poznanie Jezusa Chrystusa, Boga i Człowieka, żyjącego w Eucharystji, oraz Jego Najświętszego Serca, przepełnionego miłością i miłosierdziem względem dusz ludzkich;

c) Uczestniczyć, wyjąwszy ważną przeszkodę, przynajmniej w jednem z dwóch zebrań dorocznych;

d) Odprawić raz do roku Mszę Świętą za zmarłych współbraci i wzbudzać codziennie podczas Najświętszej Ofiary intencję o uświęcenie kleru i rozszerzenie królowania Jezusa Chrystusa;

e) Odprawić codziennie wieczorem rachunek sumienia pod

względem zgodności życia kapłana z życiem naszego Pana Jezusa Chrystusa. (W tym celu można się posługiwać formułą niżej załączoną). Każdy członek zobowiązuje się również odprawić codziennie, o ile można rano, rozmyślanie, albo czytanie, połączone z rozważaniem pod tym kątem widzenia. (Można się posługiwać w tym celu książką: *„Najświętsze Serce i Kapłaństwo")*. *)

Uwaga: Jakkolwiek Dzieło to jest przeznaczone szczególnie dla kapłanów z pośród kleru diecezjalnego, to jednak mogą w niem brać udział indywidualny na tych samych warunkach kapłani zakonni.

Akt uwielbienia i oddania się Miłości Nieskończonej.

O Miłości Nieskończona, Wiekuisty Boże, Źródło życia i istnienia, wielbię Cię w Najwyższej Jedności i Troistości twych osób.

Wielbię Cię w Ojcu, wszechmocnym Stwórcy wszechrzeczy.

Wielbię Cię w Synu, Mądrości przedwiecznej, przez którą wszystko się stało, w Słowie Ojca, wcielonem w łonie Dziewicy Maryj, Jezusie Chrystusie, Zbawicielu moim i Królu. Wielbię Cię w Duchu Świętym, Miłości współistotnej Ojca i Syna, w którym jest światło i siła i płodność.

Wielbię Cię, o Miłości Nieskończona, która się ukrywasz we wszystkich tajemnicach naszej Wiary, promieniujesz w Eucharystji, wylewasz się nadobficie na Kalwarji i ożywiasz Kościół Święty łaskami Sakramentów. Wielbię Cię tętniącą w Sercu Chrystusa, Twojem niewysłowionem Tabernakulum, i poświęcam się Tobie.

Oddaję się Tobie bez bojaźni całą pełnią mej woli: weź-

---

*) „Le Sacré-Coeur et le Sacerdoce" par Louise Marguerite Claret de la Touche. Paris, 1920, ed. Beauchesne. O tem dziele wyraził się Msgr. Touchet: „Wzniosły traktat o kapłaństwie św. Jana Chryzostoma nie znalazł, o ile nam wiadomo, lepszego komentarza".

mij w posiadanie moją istotę i przeniknij ją całą. Prawda, że jestem tylko nicością, niezdolną służyć Ci należycie, ale tę nicość Tyś ożywiła, o Miłości Nieskończona, i pociągasz dziś do siebie.

Owom ja, o dobry Jezu, aby pełnić dzieło Twej Miłości, aby rozszerzać w całym świecie wraz z poświęconymi Tobie kapłanami i przy ich pomocy poznanie Twego nieskończonego miłosierdzia i wzniosłą tkliwość Twego Serca.

Pragnę za wszelką cenę spełnić Twoją Wolę, aż do krwi przelania, jeżeli krew moja będzie godną popłynąć dla Twojej chwały.

O Maryo, Dziewico Niepokalana, którą Miłość Nieskończona płodną uczyniła, przez Twe ręce dziewicze oddaje się i poświęcam. Uproś mi pokorę i wierność w poświęceniu się bez granic dla sprawy Jezusa Chrystusa, Twego najczcigodniejszego Syna i dla chwały Jego Najświętszego Serca. Amen.

Rachunek sumienia.

W Sercu Jezusa, Boskiego Kapłana, panowały przez całe życie trzy uczucia: gorące pragnienie chwały Jego Ojca, namiętne pragnienie zbawienia dusz swych braci, nieprzezwyciężona i nieustanna potrzeba ofiary i poświęcenia.

Czy te trzy uczucia panowały dziś w mem sercu?

Cóżem uczynił dzisiaj dla Chwały Ojca mego niebieskiego?

Co przedsięwziąłem dla dobra moich braci?

Jakie ofiary złączyłem z ofiarą Jezusa-Hostji?

1. Jezus, Boski Kapłan, przyjął wzgardę i poniżenie, aby przywrócić chwałę swego Ojca.

Czy upokarzałem się dziś przed Bogiem, uznając mą nicość i nędzę i oddając Mu chwałę za dobro, z Jego łaską dokonane?

Czy przyjąłem z radością wzgardę i zniewagi ludzkie?

2. Jezus, Boski Kapłan, zapomniał o sobie, porzucił wszystko, wyzuł się ze wszystkiego, aby się oddać całkowicie zbawieniu swych braci.

Cóż oddałem dziś mym braciom z mego czasu, z mego serca, z moich dóbr, jeżeli nie materjalnych, to przynajmniej umysłowych i duchowych?

3. Jezus, Boski Kapłan, spędziwszy w nieustannem wyrzeczeniu się i poświęceniu całe życie swoje, złożył je wreszcie w całkowitej ofierze na krzyżu z miłości ku nam.

Czy zachowywałem w czynnościach dnia dzisiejszego ducha poświęcenia?

Czy poświęciłem zadowolenia mego serca, zadowolenia mego umysłu, mych sił, mego spoczynku, mego życia dla miłości Jezusa i dusz?

Żal głęboki, bolesny za uchybienia dnia dzisiejszego.

Ofiarowanie Sercu Jezusowemu dokonanego dobra.

* * *

Po bliższe wyjaśnienia należy zwracać się do Sekretarjatu Związku: Italia, Vische Can. (Torino), via Lamarmora 31.

Wnioski ostateczne.

„Wszechświatowy Związek Kapłanów Przyjaciół Serca Jezusowego" chce być „nie małą kapliczką dla wybranej garstki, lecz wielką bazyliką dla wszystkich kapłanów?"

Przeżywamy taką błogosławioną godzinę, że wszystkie dzieła katolickie rodzą się i wzrastają w promieniach Serca Jezusowego. Ono samo chce być słońcem życia i arką zbawienia dla wszystkich. Król Miłości chce pokonać swych wrogów — Sercem.

Idźmy za nim — na podbój świata. *Ks. M. Wiśniewski.*

Dobroć bez dogmatu.

II.

(Dokończenie).

Lew Tołstoj nie jest już dziś u nas na dobie. Wszakże tołstoizm wżarł się w wiele umysłów i wciąż w nich pokutuje. Odpowiada on do dziś pewnym organizacjom duchowym i na-

strojom. Powstaje i kształtuje się nawet samorodnie, bez świadomości, że istnieje jakiś tołstoizm i że się mu hołduje. Rodzi go pragnienie dobroci wszędzie: w niebie, na ziemi i w piekle.

Nie; w piekle nie, bo ono jest z natury przeciwieństwem dobroci, zatem niema go wcale, nie może go być. Więc tylko w niebie i na ziemi. I żądzy dobroci powszechnej, zrodzonej z umęczenia walką, albo też z przesadzonego idealizmu, towarzyszy jednak nienawiść. Nienawiść nie zła, samego w sobie, bo go niema, bo się oczy na nie zamyka, lecz wiary w jego istnienie i z niem walki. To walka z wiatrakami. Byłaby ona tylko komiczna, gdyby nie tragiczne jej skutki: pożary nienawiści, inkwizycje, wojny. Precz zatem, nie ze złem, bo to fikcja szatańska, lecz z wiarą w jego byt rzeczywisty! Precz z apologją i apologetami, precz z klątwą i cenzurą, które zło rodzą, podsycają i rozdmuchują. Precz z tym istotnym satanizmem!

Więc jednak zło istnieje i to aż w stopniu szatańskim, tylkoże po stronie ludzi zbożnych... Skądże się tam wzięło, jeśli wogóle ono jest fikcją metafizyczną?

Tak wiara w dobroć bezwzględną wpada w sprzeczność sama z sobą, dochodzi do wiary w zło, tylkoże je przerzuca w jego antypady, dokonywując tym sposobem przewrotu rzeczywistości nawspak i stwarzając wymarzone podłoże dla triumfu wszelkich bolszewizmów.

W tem jest sedno apokaliptycznej „głębokości szatańskiej" (Apok. 2,24). Chwytamy tu na gorąco szatańską sztukę transfiguracji, przemiany szatana w anioła światłości; przemiany, przed którą przestrzega Apostoł Narodów, a którą, jak mówi, za przykładem szatana praktykują „fałszywi apostołowie, robotnicy zdradliwi, przemieniający się w apostoły Chrystusowe" (2 do Kor., 11.13,14).

Rozkochanie się w samym sobie, w swojej fałszywej „prawdzie", sprawia, że swego własnego szatana widzi się w prawdziwych apostołach Chrystusowych, a ich nienawiść

zła, zła umysłowego czy moralnego, mianuje się nienawiścią szatańską. Doświadczył tego sam Chrystus od faryzeuszów, kiedy rzucili Weń przewrotną inwektywą: „Tyś sam jest Samarytan i czarta w sobie masz!"

Tyle dobroci mają w sobie ci transfiguranci, że znieść nie mogą żadnej nienawiści. Z jedynym tylko wyjątkiem, a to w stosunku do dogmatu. Ależ bo właśnie dogmat jest złem najwyższem, źródłem nienawiści, źródłem walk i nieodłącznych od nich okrucieństw.

Więc jednak bez nienawiści się nie obejdzie. Szkoda tylko, że, chcąc jej uniknąć, zwraca się ją w najfatalniejszym kierunku. W kierunku, miłym sercu „podziemnego" transfiguranta, który, gotując wojnę, przybiera się w strój pacyfisty, by uśpić czujność zbożnych i znienacka ich zaskoczyć.

Ach, ci zbożni, co dają się usypiać narkotykiem liberalnej dobroci w ewangelicznej obwijce! Są to ludzie typu, o którym mówi De Bonald: „Powszechnie się jest przekonanym o prawości swych uczuć daleko więcej, niż o słuszności swych myśli. Są jednak osoby, które uważają, że umysł ich jest prosty, dlatego, że serce ich jest prawe. Ci to są, co najlepiej pełnią zło, bo je pełnią z całym spokojem sumienia". Są oni — dodajmy — tem szkodliwsi, gdy cieszą się uznaniem i powagą wśród zbożnych.

Św. Augustyn powiedział: „Miłujcie ludzi, zabijajcie błędy". Podobnie Skarga, mając na myśli rodzimych heretyków: „Miła krew, ale heretyctwo złe". Nasi dobrociowcy pełnią pierwszą część wskazania Augustynowego, wzdrygają się wobec drugiej ze względu na pierwszą. Ochraniają przed chłostą złych, aż do ochrony zła. Przytem, dla względu na złych, zapominają o względzie na ochronę dobrych przed złymi. Żeby nie obrazić złych, obrażają dobrych.

Cóż, że uznają dogmat, skoro w praktyce z nim się nie liczą, albo liczą się niedość? Wpadają zatem w tołstoizm praktyczny i pracują dla zła z nadmiaru dobroci dla złych.

Prawdziwa to choroba czasu.

Skąd wyszła ta choroba, tam też znalazło się na nią lekarstwo. Lekarstwo filozoficzne na błąd filozoficzny. Dał je Rosji, przez nią i światu, sławny nawrócenie rosyjski, głęboki myśliciel i świetny pisarz. Przeciw Lwu Tołstoju wystąpił Włodzimierz Sołowjew w swoich znamienitych „Trzech rozmowach o wojnie, postępie i końcu dziejów wszechświatowych".

Przez wszystkie te trzy dialogi, które się toczą na Jasnym Brzegu francuskim, a w których uczestniczy pięć osób, przedstawiających różne światopoglądy, przyczem jedyna dama gra rolę języczka u wagi,—przewija się zagadnienie walki ze złem. Rzecznikiem katolickiego poglądu autora na to zagadnienie jest „gaspadin Z.", jedyny znowu wśród rozmówców rosyjskich cudzoziemiec zachodni, uświadomiony dobrze katolik.

W rozmowie trzeciej, w której zagadnienie osiąga stadjum najwyższe, p. Z. trzyma pierwsze skrzypce i, z punktu religijnego, zwycięsko przeprowadza tezę przeciwtołstojowską przeciwko księciu-tołstoiście. Dwaj inni partnerzy, pominąwszy łagodzącą spór i arbitrującą damę, — generał i dyplomata, z których pierwszy przodował w rozmowie pierwszej, drugi w drugiej, — obaj, także przeciw księciu ze swoich stanowisk, grają teraz role pomocnicze w rozwoju dialogu i wszechstronnem oświetleniu zagadnienia. Generał, jako przedstawiciel militaryzmu i człowiek wierzący, lecz prymitywnie, po żołniersku i wstecznie; dyplomata, jako trzeźwy hołdownik postępu kulturalnego, lecz zarazem religijny wątpiciel.

Dialog kończy się odczytaniem przez p. Z., niby (fikcja artystyczna) z rękopisu po zmarłym przyjacielu-zakonniku, niezmiernie ciekawej opowieści o Antychryście, w którym zło, zaprzeczane przez księcia-tołstoistę, zrzuca ostatecznie maskę i okazuje się w pełni groźnej rzeczywistości.

Nie zamierzyłem tu bynajmniej streszczać i omawiać owego dialogu, co wymagałoby — nie ramek artykułu, lecz ram studjum. Chcę wydrzeć zeń tylko parę kartek, mianowicie z części trzeciej, i przedstawić je czytelnikowi polskie-

mu w szacie polskiej, ileże wydały mi się one osobliwie na dobie w obliczu naszego obecnego położenia pod względem społeczno-politycznym.

Mam na myśli wiersz Aleksieja Tołstoja, przytoczony przez p. Z. i następnie przezeń objaśniony. Trzymany w tonie komicznym, wykazuje on obrazowo niedorzeczność tołstojowskiej wykładni słów ewangelicznych o niesprzeciwianiu się złemu, temsamem zaś dowodzi konieczności dobrej przeciw złu nienawiści i jego zwalczania.

Bohaterem utworu jest szambelan cesarski w Petersburgu, De la Rue, postać, według zapewnienia gaspadina Z., względnie samego autora Rozmów, rzeczywista, jeno w wierszu rozmyślnie skarykaturowana dla wywołania tem silniejszego wrażenia. Przez to utwór ma charakter satyry.

Wierszowa satyra Aleksieja Tołstoja, którą podaję poniżej w przekładzie polskim, podaje nam kamerhera De la Rue jako niesprzeciwieńca, który zasadę niesprzeciwiania się złemu doprowadził do absurdu i nie tylko zgubił przez to samego siebie, ale i rodzoną córkę wystawił na pohańbienie. Niedorzeczność i grzeszność owych poświęceń w imię owej zasady okazuje niedorzeczność i grzeszność jej samej.

Posłuchajmy:

W pierś De la Rue zabójca niegodziwy
Puginał wepchnął cienki;
Ten czapkę zdjął i, z gracją włoskiej divy,
Powiedział na to: Dzięki!
Wnet w lewy bok łotr pchnął go przeraźliwie,
— Sam widok ten krew ścinał —
A De la Rue: Jak piękny, rzekł w podziwie,
Posiadasz pan puginał!
Naówczas łotr, zaszedłszy z prawej strony,
Znów przebił go zdradziecko,
A De la Rue, uśmiechem rozjaśniony,
Pogroził mu, jak dziecko.
Złoczyńca kłuć po całem jął go ciele,

Na krwawą tnąć je siatkę,
A De la Rue wezwanie przed nim ściele:
Zapraszam na herbatkę!
Łotr padł na twarz i płakał, drżąc, jak w febrze,
Boleścią zdjęt znienacka,
A De lą Rue: Na Boga, wstań pan! — żebrze —
Nieczysta tu posadzka!
Lecz łotr u stóp wciąż jego w skruchy męce
Lał łez, szlochając, pozewał,
A De la Rue rzekł, zakładając ręce:
No, tom się nie spodziewał!
Kto słyszał tak rozpaczać wskutek fraszki?
O miły mój, ja tobie...
Ach, ucisz się! Argument kładę ważki:
Arendę ci wyrobię!
Na wzór, — na pierś dostaniesz Stanisława,
Zaręczam słowem szczerem.
Ja plecy mam, u władz mi służą prawa,
Wszak jestem kamerherem!
Za żonę wziąć chcesz córkę mą, Jadwinię?
Bierz, proszę najgoręcej!
Ja banknotami ci odślinię
Okrągłe sto tysięcy.
Tymczasem, ot, mój portret całkiem świeży
Na dowód weź przyjaźni;
Jeszcze bez ram, jak człowiek bez odzieży,
Lecz niech cię to nie drażni!
Tu nagle żal z łotrowskiej twarzy znika,
Gniew krzywi ją sobaczy:
Dobra za zło — złe serce nikczemnika,
Ach, nigdy nie przebaczy!
Wysoki duch miernotę podłą trwoży,
Na światło ćma się miecie:
Konterfekt łotr przebaczyć jeszcze może,
Arendy — za nic w świecie!

Zawiści skra w złoczyńcy rozgorzała
I żądza usty tak krwawa,
Że ledwo się ludzkości ten zakała
Ustroił w Stanisława,
Gdy kindżał swój, ten łotr, nad biesa hadszy,
Zanurzył w jad, jak pióro,
I, k'De la Rue cichaczem się podkradłszy,
Ugodził weń ponuro.
Ten padł nawznak i w skurczach, jak w swawoli,
Marł śmiercią tajemniczą..
Tymczasem łotr, odjąwszy w antresoli
Jadwini cześć dziewiczą,
Do Kurska zbiegł, gdzie, jako gubernator,
Był nader uwielbiany;
Następnie zaś, już jako cny senator,
Był czczon przez wszystkie stany;
A w końcu wszedł pomiędzy członków Rady
W okresie krótkim zgoła...
Jakiż to wzór karjery bez zawady,
Jak lekcja to wesoła!

Posłuchajmy jeszcze uwag rozmówców Sołowiewa na temat tej satyry.

Dama zachwyciła się: „Ach, jakież to piękne! Anim się spodziewała!"

Zkolei zachwycał się dyplomata: „Wyborne, w rzeczy samej! „Ja bank-notami ci odślinię" — cudowne! „Arendy za nic w świecie!" i „Do Kurska zbiegł" — Deux vrais coups de maître" (dwa zwroty prawdziwie mistrzowskie).

Na to gaspadin Z.:

— Lecz jakaż w tem prawda, zauważcie! De la Rue nie jest ową cnotą chodzącą, której nie spotyka się w życiu. Jestto człowiek żywy, ze wszystkiemi słabostkami ludzkiemi: i próżnością („ja jestem kamerherem!") i interesownością (uciułane sto tysięcy); a jego fantastyczna nieprzenikliwość dla

sztyletu złoczyńcy jest oczywistym tylko symbolem jego bezgranicznej dobroduszności, niezwyciężalnej i nawet nieczułej na żadną obrazę, co, bądźcobądź, zdarza się, jakkolwiek bardzo rzadko. De la Rue nie jest uosobieniem cnoty, a, poprostu, naturalnym dobrym człowiekiem, w którym dobroć serca zwyciężyła przymioty gorsze i wyparła je na powierzchnię duszy w postaci niewinnych słabostek. Również złoczyńca nie jest bynajmniej zimnym wyciągiem występku, lecz jest pospolitą mieszaniną przymiotów złych i dobrych. Lecz zło zawiści osiadło w nim wewnątrz duszy i wyparło wszystko lepsze na duchową epidermę (naskórek), że tak powiem, gdzie dobroć przyjęła postać nader żywej, lecz powierzchownej, uczuciowości. Gdy De la Rue, na szereg ciężkich obraz, odpowiada uprzejmemi słowy i zaproszeniem na herbatkę, wrażliwość moralnego naskórka złoczyńcy została mocno draśnięta temi przejawami dobrego wychowania i on wybucha nadzwyczajnym żalem. Lecz kiedy uprzejmość szambelana przechodzi w serdeczne współczucie prawdziwie dobrego człowieka, który za złe płaci swemu wrogowi — nie powierzchownem tylko dobrem uprzejmych słów i gostów, lecz rzeczywistem dobrem praktycznej pomocy, — kiedy De la Rue wchodzi w życiowe położenie swego krzywdziciela, gotów podzielić się z nim swojem mieniem, utorować mu drogę do karjery i nawet zapewnić mu szczęście rodzinne, wtedy ta dobroć istotna, przenikając do głębszych pokładów moralnych złoczyńcy, ujawnia moralną jego niegodziwość i, dosięgając w końcu dna jego duszy, budzi tam krokodyla zawiści. Złoczyńca nie zazdrości szambelanowi dobroci,—wszak on również może być dobrym, bo czyż nie uczuwał swojej dobroci, gdy szlochał w męce skruchy? — nie, on zazdrości niedoścignionej dlań wyżyny i prostotnej powagi dobroci szambelana:

„Konterfekt łotr przebaczyć jeszcze może, Arendy — zanic w świecie!"

Czyż to nie realne, czy tak nie bywa w życiu? Dzięki jednej i tej samej wilgoci rodzajnego deszczu, rosną zarówno

dobroczynne siły w ziołach leczniczych, jak i trucizna w trujących. Podobnie rzeczywista dobroczynność, koniec końców, pomnaża dobro w dobrem i zło w złem. Czyśmy przeto powinni, czy mamy bodaj prawo dawać bezkrytycznie upust swoim dobrym uczuciom?

Nie potrzeba lepszego przykładu przeciw tołstojowskiemu sofizmatowi, jakoby zło trzymało się jedynie naszem sprzeciwianiem się jemu, a nie miało siły swoistej. Przeciwnie, ów przykład dowodzi, że zło potęguje się bezkarnością, co zresztą jest zgodne z powszechnym rozsądkiem i doświadczeniem świata. Gdyby—jak rzekł dosadnie dialogowy generał—De la Rue uczciwie wygrzmocił swego złoczyńcę po karku i precz z domu go przegnał, to przecież odechciałoby mu się antresoli...

Tyle w dialogu z powodu tej satyry. Nasuwa nam ona jeszcze uwagi, dopełniające dialog.

De la Rue jest niesprzeciwieńcem z natury, z wrodzonej dobroci człowieka-mięczaka. Niemniej służy on w swojej karykaturze jako wymowniejsza nad poważne rozprawy ilustracja owej dobroci wyrozumowanej, filozoficznej, jaką przed wiekami głosił Budda, a którą w świecie chrześcijańskim wskrzesił filozof z Jasnej Polany. W duchowem podłożu jej spoczywa leniwa bierność, szukająca uzasadnienia rozumowego i znajdująca je u Buddy w panteistycznej filozofji Nirwany—szczęścia wiekuistego w unicestwieniu, uważanem za jedyne wyzwolenie z powszechnego, wszechświatowego cierpienia. U Tołstoja zaś—w racjonalizmie nowoczesnym, który odrzuca dogmat chrześcijański, a mimo to chce zachować etykę chrześcijańską, owszem, rzekomo prześcignąć chrystjanizm na boisku etycznem.

W praktyce buddaizm wyraża się wogóle w nihilizmie czynu, wyciskającym znamienne piętno na bezpłodnej ascezie hindyjskich Jogisów, ascezie, która pozwoliła samemu twórcy nauki Nirwany, bez męczeństwa, zrobić świetną karjerę. (Co za uderzające przeciwieństwo z Chrystusem!) Tołstoizm zaś prowadzi conajmniej do nihilizmu walki ze złem, a w następstwie do jego triumfu.

Bogu jednemu wiadomo, ile ta nauka tołstojowska przyczyniła się do tak nagłego triumfu bolszewictwa w Rosji!

Wbrew powszechnemu wszystkich czasów i całego świata przekonaniu, uważa ona wiarę w istnienie zła za zgubny przesąd. Wiara ta sprawia, że zło zwalczamy, ono zaś jakoby wskutek tego potężnieje, jak źdźbło Waśni pod pałką Herkulesa w bajce Kryłowa „Alcydes" (=Herkules) urosło wyżej gór. Tymczasem rzekomo, ustępliwość wobec zła doprowadziłaby w końcu do jego zaniku.

Triumf bolszewizmu, w którym zło, w granicach panowania bolszewickiego, doszło do krańców rozwoju, okazał całą niedorzeczność tej rozumowcowej (racjonalistycznej) doktryny, mającej pozór oparcia w znanym nam już tekście ewangielicznym, a której jakoby chrystjanizm się sprzeniewierzył, czy też do której on rzekomo nie dorósł. Triumf ten okazał, że zło istnieje realnie tak samo jak i dobro, a, jako zło, w środkach walki nie przebiera, jest nieprzejednane i z natury tyrańskie.

Łotr z satyry nie jest doskonałym obrazem bezwzględności zła. Choć przelotnie, ujawnia się w nim jednak pierwiastek ludzki. To raczej obraz zła carackiego. Swoją pełnię zło osiągnęło dopiero w bolszewizmie.

W każdym razie, i ten łotr, jako przedstawiciel zła, wystarcza do tego, by z jego zachowania się wyłusknąć ziarno prawa duszeznawczego, jak to właśnie uczynił gaspadin Z., że dobroć bez intelektu, względnie bez jego wyrazu — dogmatu, nie tylko nie przejednywa złych, ale i w złem jeszcze utrwala i do złego podnieca.

Oczywiście, nie taką miłość miał na myśli św. Paweł, kiedy pisał do Rzymian o gromadzeniu węgli ognistych na głowę krzywdziciela przez odpłacanie mu chlebem za kamień.

Charakterystyczne jest wszakże, iż nawet te słowa Pawłowe w złych budzą złość. Upatrują w nich oni wyrafinowaną mściwość. Tak je osądził, m. in., dr. Leon Świeżawski w ateistycznej, przepojonej nienawiścią ku Chrześcijaństwu, księdze

o „Bogu-Rozsądku”.[1]) Stanowi to dowód na słuszność twierdzenia, że nawet dobroć rozsądna, natchniona przez dogmat chrześcijański, nie zawsze zwycięża złość, ale że istnieje pewien stopień złości, na którym i taka dobroć nie tylko nie osiąga swego celu, lecz osiąga wynik, przeciwny zamierzonemu celowi. Jest to złość ateistyczna. Drażni ją wszystko, cokolwiek płynie z Boga i ma z Nim jakąkolwiek styczność, chce ona bowiem zabić Go we wszelkich Jego przejawach, zarówno w świecie fizycznym, jak i moralnym.

Nie zwyciężył jej wszak sam nawet Chrystus, wcielona Dobroć Boska. Przeszkodą do tego był dogmat, którym Chrystus nie kierować się nie mógł bez zdrady swege posłannictwa, a który kazał Mu chłostać ówczesne najwyższe zło żydowskie pod postacią faryzeizmu.

W świetle walk Zbawicielowych z faryzeizmem nieodwołalnie i ostatecznie okazuje się cała potworność błędu tołstojowskiego i jego łagodnych odmian w kołach katolickich. Hołdownicy jego kuszą się o dokazanie sztuki, jakiej nie dokazał sam Chrystus: przygarnąć do serca wszystkich bez różnicy dogmatu. I, wprawdzie, zdobywają złych: bezbożników, żydów, masonów, wolnomyślców, lecz kosztem zrażenia do siebie dobrych — wierzących katolików. Zdobywają tamtych dla siebie tylko, bynajmniej nie dla Boga. Przeciwnie, pomagają im do zwycięstwa, za co zdobywają ich wdzięczność, która ich kompromituje.

Nasi ultraewangeliści odwołują się do wskazania Pawłowego: „Bądźcie bez obrażenia żydom, poganom i Kościołowi Bożemu, jako się i ja wszystkim we wszystkiem podobam...” (1 do Kor. 10.33). Zapominają jednak o słowach jego — tym z pozoru przeciwnych: „Jeślibym się jeszcze ludziom podobał, nie byłbym sługą Chrystusowym” (Gal. 1. 10). Pozorne przeciwieństwo zostało spowodowane wejściem w grę dogmatu. Te drugie bowiem słowa, do Galatów, poprzedził wyraz troski o dogmat, zagrożony przez sekciarstwo, które było zawsze jeśli

---

[1]) Ob. odpowidź moją na nią p. n. „Słońce szatana” str. 44.

nie żydowskie, to żydujące: „Jeśliby kto wam opowiadał mimo to, coście wzięli, niech będzie przeklęctwem".

Gaspadin Z. upatrzył w krokodylu symbol zawiści. Ten jego krokodyl skojarzył się w moim umyśle z krokodylem z londyńskiego Hyde-Parku. Jeden z moich przyjaciół, przebywając właśnie w Londynie, niedawno pisał mi stamtąd:

„Co niedziela chodzę do ogrodu publicznego (Hyde-Park) i przysłuchuję się rozmaitym oratorom. Boki zrywać! Ubiegłej niedzieli przez przeszło godzinę słuchałem żyda, potem muzułmanina, potem socjalisty, potem komunisty, potem anglikanina, potem najautentyczniejszego jezuity, potem ateisty, potem bolszewika. Każdy każdemu stawiał zarzuty, pytania przerywał. I co za paradne pytania nieraz padały! Jakiś ateista kłócił się z jakimś teistą, że Boga niema, bo poco by stwarzał krokodyla? O tego krokodyla kłócono się z pół godziny, aż w końcu jakiś bywalec dorwał się do głosu i wytłumaczył, że krokodyl żywi się padliną i, w ten sposób, oczyszcza błota w Egipcie".

Otóż skojarzenie się tych dwóch krokodyli, w moim umyśle, nastawionym na zagadnienie zła, zrodziło pojęcie krokodyla, jako symbol zła w ogólności.

Symbol to, sądzę, dość wymowny. Krokodyl jest dość na to szpetny, groźny, gruboskórny i... pożyteczny. Pożyteczny, rzecz prosta, bez własnej zasługi, boć nie w celu oczyszczania błot pożera padlinę, lecz w celu zaspokojenia głodu. Celowość pożytkowa należy tu wyłącznie do Stwórcy. W tym celu Bóg dał krokodylom szczególny smak do padliny, jak szczurom do kału.

Podobnie jest i ze złem moralnem. Służy ono dobru pomimo swojej, przeciwnej mu, intencji. „Djabeł dźwiga najcięższe głazy do budowy świątyni Pańskiej: poci się, a dźwiga" — głosi przysłowie hiszpańskie. Krokodyl zła pożera padlinę moralną. O ile zaś zagraża również i moralnie żywym, to trzyma ich czujność w pogotowiu i podnieca do walki o dobro, o jego nie tylko stan posiadania, ale i rozwój, ale i coraz nowe podboje błot pogaństwa, by je osuszać w słońcu Ewangelji oraz pod uprawę chrześcijańską zagarniać.

Zło jest podobne do krokodyla także i zdradzieckiem kwileniem[1]), udającem pokrzywdzoną dziecięcą niewinność. Wzruszają się niem naiwni romantycy ewangeliczni i śpieszą rzekomemu niewiniątku na ratunek przeciw rzekomym krzywdzicielom, aż tu rzuca się na nich potworny zła gruboskór. Gdybyśmy tak wszyscy poszli za ich przykładem i przewodem, dawszy się uwieść ich własnym kwileniom, jako echom kwileń krokodylich, padlibyśmy wszyscy ofiarą potwora zła.

Tak stało się już z Rosją — z pomocą kwileń tołstojowskich i tołstoistycznych. Pomimo wszakże jaskrawej oczywistości tego faktu, obłuda krokodyla bolszewizmu jest tak bezczelna, że gra on w dalszym ciągu rolę prześladowanej ofiary; a z drugiej strony łudzi świat swemi światozbawczemi dążnościami i rzekomem urzeczywistnianiem ich w Sowietach, pomimo wręcz odwrotnej, ponurej rzeczywistości. I w dalszym ciągu znajduje on wciąż po świecie, także i u nas, łatwowiarków i obrońców — całkowitych lub przynajmniej częściowych.

Pewien kapłan spotkał się z surową naganą ze strony innego kapłana, za to, że w kazaniu na tle letniej perykopy o cudownem rozmnożeniu chleba, wykładając boską ekonomję w zaspakajaniu potrzeb ciała ludzkiego, powiedział o miljonach ofiar śmierci głodowej w Rosji Sowieckiej. To miało być kłamstwo gazeciarskie i wynoszenie kłamstw na kazalnicę, więc nadużycie kazalnicy!

Krokodyl bolszewizmu bardzo jest rad takim swoim obrońcom, toteż oszczędza ich do czasu, póki mu nie napędzą jaknajwięcej ofiar. Wszystkich jednak ludzi trzeźwych mogą oni raczej tylko podniecić do tem zajadlejszej walki z tym krokodylem, aby sparaliżować skutki fatalnej ich dobroci, czyli spełnić dodatkowe jeszcze zadanie, jakie oni im narzucają.

Z początkiem Odrodzenia, odkąd zło zaczęło być protegowane, przez pięć wieków bez mała zło rosło i rozwijało się coraz potężniej, aż w bolszewictwie osiągnęło szczyt swego rozwoju. Obecnie chodzi tylko o jego rozszerzenie się na

---

[1]) Dla nas tu obojętne, czy to tylko legenda.

resztę kuli ziemskiej, zajętej przez nie całkowicie w jednej szóstej, a częściowo pozatem. W tym swoim doskonałym wyrazie zło przedstawiło się ponad wszelką wątpliwość jako rzecz realna. Ma ono swoje królestwo „podziemne" (piekielne) i dąży do podboju całego okręgu ziemi.

W tych warunkach wszelkie cackanie się z niem jest zbrodnią, a jeśli bez złej woli — głupotą. Nie kiedy bite, lecz kiedy oszczędzane, wzbiera ono na sile i, skoro zwycięży przez pochwycenie władzy, nie oszczędzi ani nawet swych oszczędzaczy. Piekielnie tylko ich wydrwi.

Dobroć rozumna, z boskiem dogmatem, dobroć dobra, jeśli ma świat ocalić, musi być bezpardonowa i bezkompromisowa. Według wskazania Pawłowego:

„Nie ciągnijcie jarzma z niewiernymi. Albowiem co za uczestnictwo sprawiedliwości z nieprawością? Albo co za towarzystwo światłości z ciemnościami? Albo co za zgoda Chrystusowi z Beljalem? (2 do Kor. 6. 14, 15).

Precz z Beljalem! Niech żyje Chrystus-Król, wcielona Dobroć Najwyższa i Prawda, źródło dobroci i nieodłącznej od niej prawdy na ziemi! *X. Charszewski.*

Nie rzucaj nadziei!

Wspomnij Emaus, gdyś smutny! Szli tam dwaj uczniowie,
Beznadziejni, zgnębieni, załamawszy dłonie,
Rozhowor wiedli szeptem o Chrystusa zgonie,
Który był Mąż potężny w uczynku i mowie.

Aż wtem zjawi się Pielgrzym i twardo im powie:
O, głupie serca, w których wiara łatwo tonie!
Czyż On Bogiem być przestał w cierniowej koronie,
Nie rzekł, że śmierć zwycięży, w proroczem swem słowie?

Gdy potem tajemniczy Pielgrzym przy wieczerzy
Łamał chleb, błogosławiąc, głosem, jak aksamit,
Poznali Go uczniowie, byli bowiem szczerzy...

Więc nie rzucaj nadziei, gdy złości dynamit
Słowo Boże wysadza! Wzejdzie, choć przeleży
Lat tysiące, jak ziarno egipskich piramid! CHARIX.

„Realizm" a młodzież.

Wśród zagadnień doby dzisiejszej problem wychowawczy zajmuje bezsprzecznie jedno z miejsc naczelnych. Jeśli z jednej strony dawne zasady pozostają nadal nietykalne, to z drugiej, przyznać musimy, że dawne metody, stosowane zwłaszcza z równą poprzedniej nieugiętością, zbankrutowałyby dziś szybko: i w istocie — bankrutują.

Nie chodzi nam o to, czy trzeba być „za" czy „przeciw" prądowi, mówimy poprostu, że trzeba przystosować się do teraźniejszości, inaczej mówiąc—żyć swoją epoką.

Łudzić się trudno. Wychowanie młodzieży przechodzi obecnie jeden z najpoważniejszych kryzysów. Cała trudność w tem, aby zdać sobie jasno sprawę z tego, jaka metoda przygotuje najodpowiedniej dzieci nasze do życia, które ich czeka. Dzień jutrzejszy będzie zapewne bardzo różny od wczorajszego, skoro już dziś odnaleźć się w nim trudno.

Wobec podobnej sytuacji, czyż można dziś stosować w wychowaniu te same metody, któremi rodzice nasi posługiwali się w stosunku do nas, to znaczy, do pokolenia „przedwojennego"?

Nie mamy bynajmniej zamiaru opracowywać całego systemu wychowawczego. Zadanie podobne przechodzi naszą możność i kompetencję, ale niech będzie wolno kapłanowi-zakonnikowi przedłożyć kilka uwag, dotyczących wychowania religijnego młodzieży.

Jako kapłan jest on z powołania przewodnikiem, doradcą i kierownikiem duszy; jako zakonnik pozostaje w zgodzie z tradycją swego Zakonu, który, choć 14-cie wieków liczący, pozostaje zawsze młody, tą młodością ewangeliczną, która nie zna zaniku.

Dokąd zmierza młodzież nasza?

Przypatrzmy się jej uważnie, a przekonamy się przedewszystkiem, że stoi ona na przełomie. Przełom ten, jak każ-

dy przełom, kryje w sobie niebezpieczeństwa zamętu, rozbicia i burz. Możemy nawet zauważyć, że moment przełomowy jakoby się już przewalił i że młodzież dzisiejsza jest już niemal wszędzie dojrzalszą, niż okoliczności, w których się obraca.

Młodzież ta wyrzuca swej starszej braci, że jej zamąciła horyzont przyszłości; gotowa jest do współpracy dla dobra ogółu; nosi wysoko przed sobą sztandar najczystszego ideału. Jeśli zaś chodzi o tę biedną rzeszę zaślepionych obiecankami moskiewskiego raju, wiemy wszyscy, że ta odpowiedzialności całkowitej ponosić nie może, mając za przywódców podobnych sobie ślepców. A wobec coraz to wzrastającej liczby, odpowiedzialność spaść musi ciężarem niezmiernym na pokolenie poprzednie. Ale—tak jak każda odpowiedzialność rozłożona na masy, waży ona ciężarem znikomym na barkach jednostki—pozostaje coprawda zawsze jeszcze sprawiedliwość inna.

Jednakowoż młodzież komunistyczna—jak zresztą wogóle młodzież nasza—żyje. A żyje dlatego, że w żyłach jej płynie nowa, wezbrana i tętniąca ideałem—krew. To wykopało bezsprzecznie ową przepaść, jaka oddziela pokolenie z w. XIX od generacji wzrosłej „po wojnie".

Młodzież nasza dzisiejsza—żyje! Posiada ideały. Dokąd one zmierzają? Zdaniem naszem, świadomie czy podświadomie, dążą one wszystkie do jedynego celu—p r a w d y. Nasza młodzież XX-go wieku spragniona jest *prawdy*. Dąży do niej, szuka jej i wymaga jej od wszystkiego i od wszystkich — pogoń ta ma w sobie niemal coś dzikiego, coś zupełnie prymitywnego—brutalnego nawet w niektórych. Młodzi zerwali z wszelkiego rodzaju formalizmem, stereotypowością, sztucznością. Mają wstręt do ustalonych zgóry formuł, tuzinkowych i antypsychologicznych, niezdolnych objąć potrzeb jednostki. Fakt powyższy uderza szczególniej gdy chodzi w wychowaniu o wdrożenie do praktyk religjinych.

Daniel Rops, w swej książce „Le monde sans ames", mó-

wiąc o pokoleniu przedwojennem, to znaczy o tem, które ma dziś 30—35 lat, powiada, że jest ono przesiąknięte, trapione *niepokojem*. Ten stan ducha jest w dużej mierze wynikiem błędnego pod wielu względami wychowania, które pokolenie to otrzymało w okresie zamętu i podniecania wojennego na „tyłach" linji bojowej: Prawdziwa przepaść dzieli generację powojenną od pokoleń poprzednich i od epoki ubiegłej. Wzrosła ona w okresie ogromnej niezależności, mając za wychowawców kobiety, wiekiem złamanych starców lub mężczyzn, niezdolnych do służby wojennej bez powagi i prestige'u u młodych. Dorósłszy, znalazła się wobec świata, pogrążonego w takim zamęcie, iż prosta hypoteza „ładu" zdawać się mogła—paradoksem. Z konieczności młodzież więc urobiła się na wzór świata, jaki znalazła przed sobą, zgodnie z prawem tego mimetyzmu, któremu ulega każde stworzenie młode".*)

„Niepokój" zatem jest jedna z cech najwybitniejszych młodzieży naszej. Występuje on w formie jeszcze ostrzejszej u jej starszego brata, tego dorostka z lat wojennych.

Pomińmy ten niepokój, który jest prostem przedłużeniem zwykłego przełomu młodzieńczego. W pokoleniu, o którem mowa, coprawda przełom ten był szczególniej znamienny, bo nie ujęty w karby żadnej dyscypliny, zdolnej opanować jego wybryki.

Chodzi nam tu o ten niepokój wyższy, religijny i metafizyczny, stanowiący rodzaj reakcji przeciw agnostycyzmowi, epikuryzmowi i sceptycyzmowi, na kształt tej, którą taż młodzież zauważyć mogła niegdyś u swych ojców. Reakcja owa widniała już na czole niejednego z dzieci tego pokolenia „poświęconych" *).

„Niepokój metafizyczny" — tak; wyrażenie jest trafne — przytoczmy jeszcze na tenże temat parę słów D. Rops'a: „Dzięki temu „niepokojowi metafizycznemu" jednostka staje się zdolną do odnalezienia pierwiastków ładu, niezbędnych do

---

*) „Le monde sans ames" Ed. Plon 1932 str. 4.

*) Op. cit. str. 5.

podjęcia stojącego przed nią zadania syntezy. Dzięki niemu również, ludzkość cała skazana dziś na okropną udrękę, odnajdzie zatracone poczucie konieczności dyscypliny i ładu i uniknie czyhających nań niechybnie niebezpieczeństw".

Krok jeden zaledwie oddziela ten „metafizyczny niepokój" od pragnienia czy poszukiwania prawdy — postawić ten krok — stało się poprostu logiczną koniecznością. Jesteśmy przekonani, że stanowi on właśnie krok zbawczy, który świat odkupi, wyrwie z gnuśnej miernoty, jak go już wyrwał ongiś z pozytywizmu u schyłku XIX wieku.

Ale, aby uniknąć bankructwa czy rozbicia, musi ten metafizyczny niepokój znaleźć koniecznie i jaknajrychlej jakieś niewzruszone oparcie. Nie wolno przedłużać bezkarnie niebezpiecznej gry „wykolejonego" rozumu i „zdenerwcwanej" woli, trzepoczących się nad przepaścią. Jeśli bowiem rzadkie, specjalnie uprzywilejowane jednostki zdołają zahaczyć się o prawdę, inne, bardziej liczne, ulegając naturalnemu prawu szybkości, runą pod naporem burz i wichrów.

Wielkie przeszkody Realizmu.

Pierwszy grzech naszych rodziców, wszczepiony w naturę ludzką, przeniknął ją na wskroś — *in peccatis concepit rue mater mea..."* On to stanowi tę zabójczą truciznę, której strzec się musimy nieustannie; ma ona na imię: pycha i zmysłowość: jedno drugiego godne. On, grzech pierwotny, był przyczyną kolosalnej a straszliwej głupoty ludzkiej.

Spotykamy go nieustannie na karcie historji świata — przejrzeć trzeba wszystkie jej rozdziały, przeczytać każdą stronicę, a znajdziemy się wobec nużącego, a tragicznego zarazem powtarzania bajki La Fontaine'a: „La grenouille et le boeuf". W nim odkryjemy z łatwością genezę wszystkich herezyj, odszczepieństw, upadków i schyzm, a doszedłszy wreszcie do epoki odrodzenia, stwierdzimy raz jeszcze triumf zgubny pychy człowieczej, triumf, na który świat nasz jeszcze dziś choruje. Chory jest aż do obrzydzenia własnym rozkładem.

Cały system psychologiczny, — powiadają ci czciciele bożyszcza „ja", opiera się na pojęciu jednostki; — zgoda. Ale czyż wiedzą oni, czem jest to „pojęcie jednostki?" Chcąc ją wyolbrzymiać ponad wszelką miarę, robią z niej coś potwornego, tak iż z wzniosłej staje się dziwacznie i smutnie śmieszną.

Pycha — pycha własnego „ja". Oto istota zła; przestawmy nasze przesłanki, a znajdziemy się odrazu wobec buntowniczego „Non serviam". Tak jakby człowiek mógł znaleźć w tym okrzyku wyswobodzenie z pod wszelkiej zależności i stać się obsolutnie samowystarczalnym! O bezdenna głupoto ludzka! Nie chcąc służyć jedynemu Panu i Świętemu Władcy, idzie na służbę bądź jakiegoś bożyszcza, które sobie stworzył, bądź tego, któremu na imię: szatan, świat, on sam! Konkluzja nasza wyda się może niejednemu trącić „kaznodzieją od prawienia morałów", ale trzebaby jeszcze wykazać, iż istnieje jakakolwiek inna.

Nawspak ogólnemu pragnieniu to wyolbrzymienie człowieczego „ja" stworzyło właśnie typ szczególniej mdły, bez kształtu i barwy, typ beznadziejnej tuzinkowej banalności. Co więcej, nieustannie drażnione niższe żądze ludzkiej natury wykrzywiły się poniekąd—zwyrodniały—zniekształcając samąż istotę tej natury.

Pozbawiona bowiem swych elementów zasadniczych, to jest rozsądnego rozumu i wolnej woli, przestaje ona wogóle być sobą. „Cywilizacja nasza wynosi wysoko pojęcie ludzkości, ale sprowadza jednostkę do rzędu czystego schematu lub czczego wykresu pozbawionego całkowicie pozytywnych elementów rzeczywistości, stanowiących ongiś jego istotę" [1]).

Przyczyną podobnego stanu rzeczy są proste: to „Ja" wyobrzymione do rozmiarów bożyszcza jest ostatecznem monstrualnem dziwadłem. Wymyka się z pod wszelkich więzów i ograniczeń. Jest nadużyciem, nadętą, rozpaczliwie pustą próżnią! Jeśli to wyolbrzymienie ludzkiego „ja" rozwija się

[1]) Ropss op. cit. str. 200.

po linji zmysłów, wybryki jego nazywają błędnie „prawem natury", i w ten sposób miłość własna nie jest urażoną. Nazwa to wygodna, przynosząca w sobie zgóry rozgrzeszenie na najpotworniejsze brudy.

Przeciw pragnieniom swych wielbicieli, człowiek wychodzi z ich rąk stokroć umniejszony, przestaje być panem swych decyzji a staje się podległym determinizmowi sił, działających nań z zewnątrz.

Idealizmem najszkodliwszym dla natury ludzkiej jest ten, który ją przecenia, stwarzając typ „nadczłowieka" (der Übermensch). Sprawdza się bowiem nadal niechybnie stare powiedzenie: „Chcąc udawać anioła — człowiek stał się zwierzęciem". Cywilizacja współczesna widzi coraz wyłączniej w człowieku jedynie typ idealny, abstrakcyjny, a zapomina, że ma praktycznie do czynienia z jednostkami konkretnemi, stanowiącymi każda własną, odrębną i niezamienną indywidualność. Chcąc złemu zaradzić, pogański determinizm podporządkowuje człowieka na ślepo fatalizmowi mniemanego „prawa natury", a nie rozumiejąc zupełnie warunków życia „zbiorowości", czyni z pojedyńczych istot, składających się na tę „zbiorowość ludzką", proste maszyny o wydajności różnej, wedle pewnej skali wartości, zgóry określonej.

Znajdujemy się wówczas wobec zwycięstwa komunizmu. Człowiek-maszyna na służbie państwa. O maszynę troszczymy się tylko o tyle, o ile to jest koniecznem, aby zapewnić jej pełną wydajność. Biada typom przestarzałym, zużytym, zbyt delikatnym lub zbyt powolnym! Czeka ich bezlitosny, destrukcyjny młot. Podobnie dzieje się z człowiekiem-maszyną: Cokolwiek go dotyczy osobiście nie obchodzi maszynistę. Jego głębokie, ukryte na dnie duszy pragnienia, uczucia, żale, radości i bóle—to wszystko drobiazg, szczególiki, nie warte zastanowienia i w które wchodzić—niepodobna!

„Ten sposób patrzenia na człowieka jako na prostą pozycję rachunkową w obliczaniu kosztów produkcji... (wspólny

tak kapitalizmowi jak i socjalizmowi) pomija pogardliwem milczeniem wszystko co w naturze ludzkiej stanowi jej istotę.

Poco robotnikowi—indywidualność? Wymaga się od niego przecież jedynie rodzaj inteligencji automatu. Znamy powiedzenie Henryka Forda z lutego 1929 r. „Robotnik starzejący się zaczyna jełknąć i rdzewieć". 20 wieków temu pogański filozof Kato wyrażał się podobnie, mówiąc o starych niewolnikach. „Sprzedawać ich jak stare żelaziwo". Niestety—po 2000 niemal latach Chrystjanizmu nic się nie zmieniło! Poco wynosić tak na wyżyny człowieka abstrakcyjnego, gdy spycha się tak nisko człowieka z krwi i kości, człowieka „in concreto"? [1])

Pozwoliśmy sobie raz jeszcze zacytować Daniel'a Rops'a. Słowa tego pisarza zdają nam się tak szczerze i trafnie malować te aberacje pychy ludzkiej!

Wszyscy mniej lub więcej zarażeni jesteśmy tem potwornem złem. Zaś wszyscy dostatecznie, aby się przekonać, że jesteśmy wielkiemi dziećmi, które w dodatku biorą się na serjo. Nic w tem dziwnego, że młodzi prędzej jeszcze, niż ktokolwiek inny, ulegają temu majakowi, i że słowa takie jak: „wolna wola", „wielkość", „pełna wydajność", „komfort", „używanie" łechcą ich słuch i czarują wyobraźnię.

Sama idea komunizmu, widziana pod pewnym kątem, może niejednemu podobać się poważnie. Hasło wspólnoty dóbr i zdolności dla dobra „zbiorowości", może przybrać i ma w istocie pozory poświęcenia. Nie widzą oni tylko niestety błędu, tkwiącego w sposobie pojmowania tej „zbiorowości", „społeczności" czy państwa, to znaczy jako całości organicznych odrębnych, posiadających własny swoisty byt i takąż wartość, niezależnie od jednostek, które je stanowią (in concreto).

Często dużo czasu minie zanim te biedne zbłąkane umysły uprzytomnią sobie, że są ofiarami wyzysku na rzecz fikcji. A podczas tego—zło, wyrosłe z pychy, dokonywa swego dzieła.

---

[1]) Op. cit. str. 201—203.

Drażni żywiołowe siły tej młodej rzeszy, czekającej tylko chwili, aby zerwać zapory, rozmach krępujące i uczynić ze swego „ja" bożyszcze, przed którem wszystko skłonić się musi. Staje się to szybko i kończy autoadoracją.[1])

Jedną z przyczyn tego wyolbrzymienia człowieczego „ja" jest zapewne współczesny, znamienny zwrot do auto-psychologji i to nie w formie nieco mglistej z epoki romantyzmu, ale w barwach realistycznych przynajmniej pozornie często tak dalece, że czynią z człowieka objekt nauk patologicznych. Oczywiście istnieją jeszcze liczne inne przyczyny, składające się na ten pęd do autoanalizy. Że wspomnimy tu tylko to przyśpieszone tempo współczesnego życia; szybkie przesuwanie się coraz to nowych wrażeń i nieodstępnych im „reakcyj".

Powiedzieliśmy w barwach *pozornie* realistycznych, gdyż cywilizacja nasza nie jest wcale realistyczną w prawdziwem tego słowa znaczeniu.

Prawdziwy Realizm.

Na wstępie musimy określić przedewszystkiem znaczenie terminu „realizm". Jeśli nazywamy „realizmem" brutalne, konkretne dogodzenie najniższym pożądliwościom, to słusznie powiedzieć możemy, że epoka nasza jest istną orgją realizmu.

Ale obok podobnego realizmu (który w istocie rzeczy nie jest bynajmniej zupełnie realizmem, bo nie jest wcale a wcale wyrazem ścisłym rzeczywistości, tej „res", mówiąc językiem filozoficznym), istnieje prawdziwy realizm. Polega on na ujęciu rzeczywistości w jej istocie najgłębszy a nie w jedynie jej szaty zewnej uderzającej zmysły. Ujęcie to i posiadanie są oczywiście natury intellektualnej.

Patrząc z tego stanowiska na naszą epokę stwierdzić musimy, że nie jest ona wcale realistyczną.

---

[1]) Dop. tłumacza. Autor używa tu w języku francuskim śmiałego ale bardzo trafnie dobranego neologizmu „*autogobisme*". Ktokolwiek zna francuskie wyrażenie „se gober", uchwyci łatwo całe znaczenie tego terminu, który dosłownie przetłomaczyć się nie da.

Raz jeszcze podkreślamy: pozostajemy zawsze wielkiemi dziećmi. Jak dzieci określamy przedmioty nas otaczające jedynie na podstawie bezpośrednich wrażeń zmysłowych i wyłącznie wedle kryterjum osobistej korzyści. Dziecko żyje na początku swego istnienia przedewszystkiem życiem zwierzątka. Dla świata zewnętrznego ustosunkowuju się utylitarnie i egocentrycznie. Zainteresowanie się światem zewnętrznym mierzy bezpośrednią potrzebą osobistą tegoż świata. Dziecko, widziane pod tym kątem, byłoby więc typem realisty. Ale czyż podobnie zachowywać się może człowiek dorosły obdarzony pełnią rozumu — woli??![1])

Jednym z zasadniczych właśnie błędów naszej epoki jest to branie na serjo własnej dziecinności. Pseudorealizm dochodzi do zenitu, gdy dodamy tę tak powszechną żądzę posiadania, trzymania w „garści", że się tak wyrażę, tę chęć mówienia wobec wszystkiego i wszystkich — „to jest moje" — „to jest dla mnie", itp. Zatrata poczucia wstydu jest wreszcie jego objawem końcowym—aż nadto charakterystycznym.....

Szersze masy nie są dziś już zdolne do prawdziwego realizmu, tego, który bierze świat, tak w całości jak i w najdrobniejszym szczególiku i atomie, i stawia go wobec prawdy. Czyż nato, aby dojść do takiego wyniku, cywilizacja nasza z dniem każdym bardziej się rafinuje??

Zapatrzywszy się w maszynę zapominamy o Genjuszu, który je stworzył.[2])

Nie tak się rzeczy miały w średnich wiekach. Napróżno zarzucamy tej epoce obskurantyzm i fałszywe mistyczne egzal-

---

[1]) Myśl ta rozwinięta jest szerzej w książce Romana Guardini „Vom Geist der Liturgie" rozdz. „Von Liturgie als Spiel" oraz w „Orthodoxie" rozdz. „Le Fou" i dwa następne, G. K. Chesterton'a.

[2]) Mickiewicz w „Księdze Narodu Polskiego" gromi to bałwochwalstwo społeczeństw współczesnych.

Każdy naród ma swoich Bogów.

Psalmista pokazuje nam, iż zło powyższe istniało już wówczas, gdy pisze: „Simulava gentium argentum et aurum, opera manuum hominum.... Similes illis fiant qui faciunt ea, et omnes qui confidunt in cis. Ps. CXIII w. 58

tacje; musimy przeciwnie stwierdzić, że ówcześni nasi przodkowie byli stokroć większymi realistami, niż my dzisiaj. Żyli „rzeczywistością" nieskończenie głębiej od nas. Żadna jeszcze maszyna nie kryła przed ich spojrzeniem Stworzyciela, a miłość dla stworzenia, podporządkowana miłości dla Stwórcy, stawała się silnym wyrazem wiary w Niego.

Oto prawdziwy realizm. Dopóki myśl nasza nie ujmie całego stworzenia w świetle Stwórcy: „Cogitationes nostrae panae sunti", póty realizm nasz będzie czysto pozorny, póty budowla na piasku wzniesiona walić się musi za lada wiatrem i burzą—Prawdziwe zamki na lodzie—Karciane domki!!...

Czas nam zrozumieć wreszcie, że być prawdziwym realistą, znaczy być pokornym i wierzącym. Wierząc Temu, który jest prawdą, umysł mój przywiera mocno do Słowa Bożego, do Tego, który rzekł: „Jam jest Prawda i Żywot"; odsuwa raz na zawsze wszelką niepewność i kroczyć może wówczas szybko na drodze, która doń wiedzie. Czyż to są mrzonki? Czyż lepiej może zawierzyć samemu sobie? Polegać wyłącznie na sobie i od siebie wywodzić wszystko jak od absolutnego centrum?

Niestety! właśnie świat dzisiejszy zajęty jest jedynie sobą, pragnie zrozumieć tylko siebie i opierać się wyłącznie na własnych siłach. Oczywiście wpada w ten sposób w istne błędne koło—czego rezultatem śmiertelne znużenie, jak znużonemi są członki nasze po tysiącznem powtarzaniu gimnastycznych łamańców.

Raz jeszcze nazwać to musimy czczą autoadoracją.... [1])

Zupełnie odmiennie pojmowały naturę ludzką i jej nędzę Wieki Średnie. Logiczne, a przedewszystkiem do głębi realistyczne, rozumiały one dobrze, że ani siła muskułów, ani fizyczna zręczność, ani inteligencja, ani majątek, ani nawet genjusz czy osoba człowiecza nie mogą być absolutnem kryterjum Prawdy. Głęboką swą wiarą dosięgały one „rzeczywistości istotniej", ukrytej w stworzeniu. Były epoką miłośników

---

[1]) Autor powtarza termin „autogobisme", o którym mówiliśmy na str. 12 w odsyłaczu.

stworzenia, ale stworzenia, podporządkowanego Stwórcy. Ojcowie nasi z tych czasów odległych poprzez świat zewnętrzny umieli kochać Boga-Stworzyciela i umieli Go odnaleźć we wszystkiem i wszędzie. Jego to starali się zawsze wyrazić w swych dziełach z siłą i świeżością, nie znającą jeszcze sztuczności.

Mówiliśmy powyżej o niepokoju metafizycznym jako objawie charakterystycznym wśród naszej młodzieży. Nie o „niepokoju" lecz o „napięciu" metafizycznym mówićby trzeba, gdy chodzi o naszych prapraojców z średniowiecza. Ta pewność znalezienia Boga we wszystkiem utrzymywała ich stale w atmosferze Bożej i oswajała ogromnie z pojęciem nadprzyrodzoności.

Człowiek z XII czy z XIII w. bierze życie z jego strony najpełniej realistycznej, ze szczerością i uczuciem, które dziś jeszcze nas wzruszają. Rzućmy okiem na katedry, opactwa, sklepienia czy kapitele z tej epoki odległej. Zobaczymy scenę z życia wiejskiego, z polowań, kiście najprzeróżniejszych owoców, całą gamę naszych beczących i żujących czworonogów, wszystkie okazy ptactwa domowego i leśnego, sceny swojskie, proste, wzięte z życia rękodzielnika i rolnika. Oto wszystko dowody, świadczące o tym niemal podświadomym związku, łączącym świat fizyczny, przyrodzony, z metafizyką i nadprzyrodzonością.

To epoka Franciszka z Asyżu i Fioretti, epoka Tomasza z Akwinu i Summy—Pan Bóg nie był tu z pewnością poszkodowanym ani ludziska zgorszeni. Bliżsi prawdy, — ojcowie nasi byli również pokorniejszymi, czego my, nadęci naszą pseudo-wielkością, już dziś zrozumieć nie umiemy.

Prawda — pokora. Oto wspaniały hymen. Zaślubiny wzniosłe, na których do głębokiej kryształowej czaszy ludzkiej nizkości spływa potokami ocean Boskości i zamienia ją na puhar mistycznego napoju! „Abyssus abyssum invocat... przepaść naszej nędzy przywołuje przepaść Bożego miłosierdzia", rzekła pokutnica de Feligno. Ale także przepaść naszej nicości, uznanej i wyznanej, przyciąga ku sobie Ocean Boży.

Jedynie człowiek pokorny może pojąć*) Boga — bo uczynił w sobie próżnię dla miłości Jego wyłącznie. Rozumieli to Franciszek, Bonawentura, Dominik i Tomasz — posiadali oni w pełni dar wiedzy, który daje rzeczywiste ujęcie stworzenia w stosunku do Prawdy. Nie szukali zrozumienia siebie samych, ale ze wszystkich sił swych pragnęli ująć, posiąść Boga; kierowali ku Niemu całą moc swych energij, a Bóg ich napełnił Sobą, nasycając w nieskończoność pragnienia ich dusz. Zakosztowało wówczas serce ich Pana nad Pany! — Byli przesiąknięci darem mądrości! „Fecit in me magna..." Śpiewała Marja, śpiewały za Nią filary średniowiecza; ponieważ nie zawierzyli sobie, ponieważ byli „próżni" z samych siebie, Bóg zdziałał w Nich i przez Nich wielkie rzeczy. Tak sprawdza się poprzez całą historję życia Kościoła przypowieść Pańska o gorczycznem ziarnie. Te dusze pokorne, dusze prawe, dusze „realistyczne" ponad wszystko, rozwiązały tragiczne zagadnienie niepokoju. Chaosowi człowieka, pogrążonego w rozterce skutkiem świadomości swego własnego „ja", przeciwstawili człowieka równowagi i pokoju, ujmującego do głębi, jasnym wzrokiem swą nędzę. Wiedzieli oni, że cała ich mądrość, wszystkie prawdy i skarby jakie odkryją, nie mają swego źródła w nich samych, ale są im dane od Boga, że posiadają one swój byt istotny w tej niezmiennej i wiecznej rzeczywistości jaką jest — dogmat katolicki.

G. K. Chesterton pisze na ten temat co następuje: „Jak tylu innych młodzieńczyków, przejętych swą ważnością, i ja próbowałem wyprzedzić moją epokę. Podobnie więc, jak oni, zapragnąłem wyprzedzić prawdę o jakie 10 minut. Przekonałem się wkrótce, że jestem o jakie 18 wieków w tyle — podniosłem głos—z młodzieńczą a niezgrabną przesadą, chciałem wykładać *moje* prawdy. Zostałem ukarany w sposób najodpowiedniejszy, a jednocześnie wielce zabawny: prawdy moje musiałem zachować dla samego siebie, przekonywując się,

*) W znaczeniu „pojemności" (dop. tłum.), oczywiście nie „wyczerpania".

że są istotnie prawdami zasadniczemi, tylko bynajmniej nie *„mojemi"*. Podczas gdy ja wyobrażałem sobie, że czuwam sam jeden na posterunku, byłem w istocie w komicznej sytuacji człowieka, otoczonego przez całe falangi wieków chrześcijaństwa" [1]).

Tenże autor pisze nieco dalej: „...przekonacie się, że wiara w samego siebie jest jedną z najpospolitszych oznak człowieka do niczego" [2]).

Jak kształcić naszą młodzież w prawdziwym Realizmie?

Powiedzieliśmy na wstępie, że młodzież nasza jest na przełomie. Posiada jako cechy dodatnie: pragnienie i potrzebę prawdy, pęd do ideału, zaś jako cechy ujemne: niepokój, nafaszerowany pychą. Zapewne są to sprzeczności. Współistnienie ich jednak da się wytłumaczyć, gdy chodzi o istoty młode.

Czego potrzebuje młodzież nasza, aby odnaleźć równowagę i zdobyć nowe siły na dalsze boje i zwycięstwa.

Bezwątpienia—pokarmu, aby nasycić głód prawdy i realizmu prawdziwego, aby poskromić pychę.

A więc przedewszystkiem trzeba utwierdzić niezłomnie duszę młodych w prawdzie. Są oni w rozterce? Ależ to naturalne.—Wszystko w nich domaga się czynu, wypróbowania namacalnie własnych młodych energji.—Wszystko w nich rwie się do życia, prze do ekspansji, do ofiary, do oddania się i domaga się w tym darze sumy rozkoszy. Zachłanność żądz władz umysłowych i woli, rozpęd sił seksualnych, samoświadomość fizycznego dojrzewania, rozliczne podniety zewnętrznego świata, wreszcie echo instynktów podobnych (niekiedy podświadomych) u innych istot młodych, oto bodźce aż nadto silne. Dodajmy jeszcze cały wymagający sztywny, często nu-

1) G. K. Chesterton—Ortodoxie. Pd. Ronast 1933 p.t. Introduction.
2) Op. cit. ch. Le Fon p. 9.

żący, kodeks praw moralnych i pozytywnych; dodajmy, przykazania i zakazy etyki katolickiej.

Z drugiej strony rozterka ducha wzmaga sie jeszcze przez tę potrzebę wrodzoną, spontaniczną elementu Bożego — potrzebę u niektórych zwłaszcza tak silną, że stwarza w ich duszach prawdziwie dramatyczny dualizm. Wielu może stara się ten głos zagłuszyć, ale czyż skutecznie?...

Franciszek Cuauriae w swej książce: „Souffrances et bonheurs du Chrètien", odpowiada przecząco: „Niektórzy zatrzeć w sobie ślad Boga usiłują powoli, systematycznie. Mało komu udaje się to całkowicie, poprzez zawarte drzwi przedziera się jakiś ostatni promień, i pali kartę, na której wpisywało się zaparcie, dzieło całe pozostaje nim (bożym elementem) jakby upstrzone"[1]). Wiecznie prawdziwemi okazują się słowa św. Augustyna: „Quia fecisti nos ad Ta et ingnietum est cor nostrum, donce requiescatinte".

Co utwierdzi młodzież naszą w prawdzie?

Wychowanie do głębi *dogmatyczne.* Dusza żywi się rzeczywistością pozytywną—nie zbiorami praw. Niestety od zbyt już dawna ograniczono się do nauczania wyłącznie katolickiej moralności. Droga ta wydaje nam się anty-psychologiczną.

Któż z nas naprzykład rozkoszować się będzie wykładem o przykazaniach do zachowania, o grzechach do uniknięcia i o karach, które są prostym wynikiem tychże? Młody—bardziej, niż kto inny—ma szybko dość tego wszystkiego. Oczywiście, że należy opanować jego potrzebę wrodzoną niezależności i dać ujście nagromadzonym zasobom energji, ale czyż koniecznie na drodze zakazów i gróźb? czyż uda się to wogóle tą metodą? Wielką miał rację słodki św. Franciszek Salezy gdy pisał: „Więcej much złapiesz, o Filoteo, na kroplę miodu, niż na beczkę octu".

Odpowiedzieć można słowem psalmisty: „Initium sapientiae Timor Domini". Ale wszyscy autorowie duchowni zgadzają się w tłumaczeniu słowa „Timor" przez „bojaźń", pocho-

---

[1]) Op. ct. p. 104. Ed. Grasset.

dzącą z miłości pełnej czci dla Bożego Majestatu, a nie przez pojęcie niewolniczego strachu. Zresztą sam sens tekstu Pisma św. popiera naszą interpretację. Przyjmijmy nawet, że chodzi tu o bojaźń kary; wiemy przecież, że Pismo św. podaje też bojaźń jako pierwszy stopień na drodze doskonałości duchowej, której etapem końcowym jest — zjednoczenie duszy z Bogiem.

Trzeba jednak nie znać wcale duszy młodzieży, aby jej oświadczać (choćby obwijając to bardzo w bawełnę), że jest zdolną jedynie do tego najniższego stopnia miłości ku Bogu. Postawmy się na miejscu młodej istoty, której zaaplikowano podobne twierdzenie. Czyż bylibyśmy z tego bardzo radzi? Czyż także uważalibyśmy zawsze za niezbite te wszystkie dowodzenia o obowiązkowej bytności na Mszy św. lub poszczeniu w piątek itp.? Czyż nie przeciwstawilibyśmy odrazu „praw natury" tym formalnym zakazom, dotyczącym grzechu ciała? Na miłość Boską! Nie gaśmy płomyka, który tli jeszcze, nie łamajmy trzciny, co się chwieje! Zapewne, zło pozostaje *zawsze złem* i godnem jest potępienia. Czyniąc to nie zapominajmy tej drugiej metody, która polega na podnoszeniu dusz w górę ku pięknu, ku dobru i szlachetności! Podkreślić musimy raz jeszcze, że młodzież nasza ze sfery inteligencji jest bardziej zdolną zrozumieć Prawdę, niż się naogół sądzi— pokażmy jej dogmat katolicki jasno wyłożony, z przekonaniem, odczuciem, zapałem. Mówmy jej o Bogu, o Słowie Wcielonem, o tajemnicy Odkupienia. Wskażmy rolę N. Panny Maryi w ekonomji dogmatu Chrystusowego. Zagłębiajmy się wraz z nią pokornie a miłośnie w tę wspaniałą rzeczywistość, jaką jest Mistyczne Ciało Chrystusowe. Miejmy odwagę oświadczyć głośno, że jedyny komunizm prawdziwy polega na współudziale wszystkich wiernych w jednych i tych samych zasługach Chrystusa. Oczom może nienawykłym do tak wielkich horyzontów wskażmy to arcydzieło piękna na ziemi, jakiem jest—Golgota. Wytłumaczmy, czem jest ta ofiara, co ona w nas sprawia, jak się przedłuża w Ofierze mszalnej. Rozwińmy przed nimi całą logiczną ciągłość Sakramentów — tych kanałów łaski — a z całą pewnością rezultat (jeśli chodzi

o wszczepienie wstrętu do grzechu), będzie stokroć lepszy, niż gdybyśmy godzinami całemi zamęczali nasze audytorjum groźbami kar.

Dodajmy jedno jeszcze, o czem zapominać nie wolno. „Katolicyzm nasz jest w pierwszym rzędzie *„tezą"*, twierdzeniem, affirmacją, obejmującą wszelkie istotne wartości i całą rzeczywistość na niebie i na ziemi[1]). Nie inaczej rozumiał dogmat nasz wielki papież św. Leon Wielki, gdy wołał: „Zrozumiej, o Chrześcijaninie, godność twą, a stawszy się uczestnikiem Bożej natury, strzeż się pilnie, abyś przez niegodne postępowanie nie opadł znowu na dno twej niskości. Pomnij, jakiego wodza i czyjego ciała jesteś człowiekiem. Nie zapominaj nigdy, że wyrwany ze szponów potęgi ciemności, przeniesiony zostałeś w krainę świata i Bożego królowania — przez Sakrament św. Chrztu stałeś się świątynią Ducha św. Nie zmuszaj Bożego mieszkańca Twej duszy do ucieczki przez niegodne zachowanie".[2]

Oto rzeczywistość wzniosła a wspaniała, którą uczyć należy.—Nauka moralna nie jest tu bynajmniej pominięta, lecz wypływa naturalnie jako konsekwencja z prawdy dogmatycznej, swej niezbędnej podstawy. Pierwszym wynikiem podobnego wysunięcia dogmatu na plan pierwszy będzie postawienie duszy młodych bezpośrednio wobec najistotniejszej „rzeczywistości". Oto metoda pozytywna—droga nieomylna. „Supra petram quae est Christus"—Ona jedna przekona naszą młodzież, że katolicyzm nie jest prostym zbiorem nakazów i zakazów.

Czemże on jest w istocie?

Prostem a wymownem wyznaniem naszej wiary w Boga, Ojca ludzkich istot, wiary tryskającej z serc dziecięcych. Jest on tą nieustanną wymianą stosunków, jakie istnieją między

---

[1]) Karl Adam. „Le vrai visage du Christianisme". Intz. p. 23 przestrzec jednak musimy czytelnika przed pewnemi poglądami, zbyt ustępliwemi względem protestantyzmu, które dziełko to zawiera.

[2]) P. L. t. 8 LIV, p. 192—193 Sermo in Nativitate D. U. I. e'rcafinem.

Ojcem a Jego dziećmi. Żyć tą prawdą całem sercem i duszą, a nie tylko znać ją czysto spekulatywnie—oto co znaczy rozumieć prawdziwą istotę chrystjanizmu. Ale, aby tę Bożą rzeczywistość zrozumieć, aby zwłaszcza doświadczyć jej życiodajnej mocy, trzeba znać Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Trzeba zgłębiać coraz to bardziej dogmaty naszej wiary. „Wszystkie co do jednego dogmaty Kościoła Katolickiego noszę na sobie piętno Chrystusowe". (K.A.).

Bezwątpienia taki wykład naszego katolicyzmu przemawia bezpośrednio do wiary. Jednocześnie jednak znajdujemy w ten sposób wspaniałą okazję wykazania harmonji, która istnieć winna między wiarą a wiedzą.

Na tej drodze również jedynie potrafimy wzmocnić przekonania młodzieży. Skoro patrzymy uważnie na samę znajomości u ogółu ludzi, a u młodzieży w szczególności, uderza nas silnie niesłychana wprost nieznajomość prawd dogmatycznych. — Obyż to nieuctwo ograniczało się jeszcze jedynie do teorji!!

Z lekkością, którą tłumaczyć może jedynie nieświadomość (często dziś bezwinna), nasz młody załatwia się szybko z religją. Istotnie z nauk młodości pozostało o niej inne, słabe, często wykrzywione pojęcie. Z konieczności równie szybko wyzwala się on dalej z pod wszystkich, zanadto krępujących węzłów moralności. — Karol de Bos, w swoich „Approximations", pisze między innemi: „Ludzie światowi celują w zgrabnem skasowaniu tego czego nie znają, tak dalece, że niekiedy w ich obecności czujemy się do tego stopnia skrępowani, że już sami tracimy pewność oczywistej rzeczywistości, a nawet świadomość istnienia wogóle jakichkolwiek wartości prawdziwych".

Logika staje się bezbronną wobec nielogiczności, podniesionej do godności systemu. Nie na tem koniec. U wielu podczas gdy inne gałęzi wiedzy rozwinęły się proporcjonalnie do wieku, okoliczności, warunków życiowych, społecznych i t. p., gdy zdobyto wszelkim wysiłkiem pokost zewnętrzny, o tyle gruntowny, że pozwala znaleźć się na miejscu wśród towarzyskich zebrań — salonów, znajomość religji pozostała

nikła, płytka, istna znajomość duchowego suchotnika. Dyszy ona zaledwie słabą iskierką życia, a wygląda jak „biedna, szara krewna" wśród bogatej rodziny. A od tej zniekształconej, niewyrośniętej religji wymaga się tej samej sumy pracy, tej samej wydajności, co od jej sióstr dorodnych!

Źle mówię — „tej samej" — większej jeszcze, rzecby trzeba. Rzeczywiście, ten biedny, bardziej niż elementarny zasób religijnej wiedzy, pobrany najwyżej w kilku klasach szkoły średniej, odpowiedzieć ma na liczne, najtrudniejsze zagadnienie dogmatyki, apologetyki i moralności.

Brutalność wypadków życiowych, oraz niektóre niespodziewane sytuacje wyczerpują szybko słaby, źle sklecony zapas religijnych argumentów, — a wówczas??

Wówczas jak dzieciak, który uderzywszy się o stół, bije weń mściwą piąstką, zarzucamy religji katolickiej jej absolutną nieodporność życiową.

Zapewne — to dziecinada. — Ale igraszka jest niestety straszną!! — Jeśli chcemy — a jest to naszym obowiązkiem, aby nasz katolicyzm wznosił się ponad nieprzewidziane czy niezrozumiałe wypadki życiowe, musimy go mieć nieco więcej, niż obejmuje ten biedny zapasik z lat sztubackich.

Musimy więc wszelkiemi siłami starać się o pogłębienie wiary w naszej młodzieży. Św. Benedykt w swej Regule nazywa wiarę *„lumen deificum"* pozwala ona nam bowiem ująć rzeczywistość nadprzyrodzoną w świetle Bożem. Istotnie wprowadza nas w element Boży, bo sprawia, że podzielamy Boży sposób patrzenia.

Ale, aby nabyć tej wiary, trzeba wyeliminować zwycięsko ten drugi pierwiastek ujemny, którym jest pycha.

Nie będziemy się nad tem rozwodzili.

Wszyscy posiadamy liczne doświadczenia, wykazujące nam wymownie śmieszną naiwność ludzkiej pychy. A gdzież rozpanosza się ona swobodniej, jak u istot młodych? Serce ich przepełnione jest bożyszczami, z których największym dla nich samych jest ich własne „ja" — Ci młodzi nie są realistami, przed wiekiem przeżyci i zblazowani, nie przez zbytek

pokory z pewnością, ale przez wybujały kult własnego „ja"; przez tę nieszczęsną pychę ciała, tak trudną do zwyciężenia, a tak upadlającą!

Bogata promienna szkoła dogmatu byłaby, zdaniem naszem, środkiem pierwszorzędnym dla utrzymania naszej młodej rzeszy bardziej w prawdzie. A prawdą dla nas śmiertelników — to pokora, to owo stanowisko szczere wobec Boga, jedynej Prawdy.

Obyż danem nam było wszczepić w dusze młodzieńcze kult prawdy! Ale nato koniecznem jest trochę skupienia. Św. p. kardynał Mercier polecał każdemu pragnącemu wyjść z ubitego toru duchowej miernoty, pięć minut rozmyślania dziennie.

Epoka nasza nie nakłania do skupienia; czas upływa zbyt szybko, wrażenia są tak przelotne... tak słodko jest zapomnieć!... Przeciwnie—pięciominutowe codzienne rozmyślanie wprowadza powoli w młode umysły trochę więcej harmonji między rozumem a wolą. *„Age quod agis"!* mówi biskup świeżo wyświęconemu kapłanowi. W wolnym przekładzie znaczyłoby to „rozumiej co czynisz!" O tak! *„rozumieć dobrze"*, wieleż by to nam oszczędziło w życiu głupstw, wieleż posunięć lekkich, bezmyślnych, wieleż niecierpliwości, gniewów, braków miłości, wieleż błędów, które wstyd pokrywa milczeniem, wieleż wreszcie tych mniej lub więcej bolesnych wykroczeń względem niepomiernej miłości naszego Boga, a któremi usiane są dni nasze, życia nasze!

„Age quod agis". Oto prawdziwy realizm—wyraz zdrowej logiki. On jeden czyni z nas w obliczu życia *ludzi*, a nie lalki.

Oto logika w ścisłym związku z naszemi zasadami religijnemi i moralnemi; logika w praktykach religijnych i w naszych poczynaniach czysto ludzkich, logika w zrozumieniu naszych obowiązków religijnych i zadań moralnych, logika prosta, świetlana, która z nas czyni synów światłości.

Zakończenie.

Będziemy zwięźli.

Przedstawiliśmy powyżej jeden z momentów tego wielkiego przełomu, przez który młodzież nasza obecnie przechodzi. Staraliśmy się wskazać jak dalece konieczneném jest wyrwać tę naszą młodocianą przyszłość z atmosfery sztuczności i kłamstwa, w której pogrąża się świat dzisiejszy.—Czas już wielki wytłumaczyć młodym, że prawdziwy realizm nie polega na przyswojeniu sobie pogańskiego *„Carpe diem"* i że jedyną prawdziwą „rzeczywistością", zasługującą w pełni na to imię, jest Rzeczywistość nadprzyrodzona... „Niebo i ziemia przeminą a słowa moje pozostaną na wieki".

Starajmy się zatem koniecznie oswoić młodych z *wielkiemi dogmatami naszej wiary*. Wykażmy im, jak górują one ponad wszelką przypadkowością, i jak w myśli Bożej mają być przedmiotem naszego życia, a to z prostej racji naszego podniesienia do życia nadprzyrodzonego.

„Agnosce, o Christiane, dignitatem tuam"! Dalecy od odsuwania młodzieży od źródeł życiodajnych, musimy udostępnić jej nietylko zrozumienie tych wielkich rzeczywistości Bożych, jakiemi są: Sakramenta św., Msza św., Życie łaski, Ciało mistyczne Chrystusa,—ale jeszcze musimy ją przyzwyczaić i ułatwić jej używanie tychże jaknajczęściej — codzień. Musimy budzić w młodych duszach pragnienie rzeczy bożych, aby z dniem każdem doskonalej wszczepione na jedynej Winnej latorośli stały się godnemi owocami Chrystusowego dzieła Odkupienia.

U. I. O. G. D.

O. Karol van Oost. O. S. B.

Przyp. tłumacza. Myśl głęboka i jasna, ale ujęta w styl żywy, silny, często nieco oryginalny, nie zawsze dała się przetłumaczyć bez szwanku. Pozostaje nam jedynie prosić Czytelnika, aby wszelkie usterki przypisał zgóry tłumaczowi.

Opactwo N. M. P. — Jouarre.

Dla Kapłanów.

W 1930 roku wyszła z druku nakładem „Kroniki Rodzinnej" skromna książka o 275 stronicach p. t. *„Przewodnik Kapłana"*. Zasługuje w zupełności, aby się znaleźć w rękach ogółu Braci Kapłańskiej. Przeznaczeniem jej bezpośredniem jest służyć kapłanowi podczas rocznych rekolekcyj, zawiera jednak tyle światła i ciepła, że trudno się od niej oderwać; przyda się i w ciągu roku.

Autor, *Ks. Jerzy Letourneau,* dwudziestoletni kierownik Seminarjum duchownego w Augers, a następnie od r. 1900 proboszcz wielkiej parafji św. Sulpicjusza w Paryżu, napisał ją w 1916 r. na prośby swoich dawnych wychowanków. Wlał w nią bogate doświadczenie kapłańskie i wiele serca.

Spolszczył tę książkę i postarał się o jej wydanie Ks. Stefan Warszawski, zmarły na Bielanach w grudniu 1932 roku.

Niezwykły to był kapłan. Znał z długoletniej własnej praktyki troski i cierpienia serc kapłańskich, współczuł z niemi całą duszą i modlił się ciągle: „Ut sint unum". Podstawę tej jedności widział w świętości kapłańskiej, bez której nie przydamy się do niczego ani Kościołowi ani Narodowi.

Poznałem go w Szwajcarji podczas wojny światowej.

Pewnej niedzieli odwiedziłem rodaków zatrzymanych przez wojnę w Lozannie.

Po Mszy św. jakiś kapłan staruszek wszedł do zakrystji i nieśmiało poprosił o spowiedź. Usłużyłem mu natychmiast z większą jeszcze nieśmiałością, bo mnie krępowała ta czcigodna postać klęcząca u stóp młodego lewity. Był to ks. Warszawski.

Po paru miesiącach znalazłem się w Zurychu, dokąd udałem się również z posługą duchowną do rodaków.

— „Jest tu w sanatorjum jakiś kapłan staruszek, Polak— mówią mi po nabożeństwie nasi tułacze—czy ksiądz nie zechciałby go odwiedzić?"

— „Z najmilszą chęcią, za godzinę będę u niego".

Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem znów ks. Warszawskiego, tym razem powalonego cierpieniem. Poruszał się z największym wysiłkiem, nie miał przy sobie nikogo z bliskich sercu. Radość z naszego spotkania była obustronna.

Powtórnie przyjąłem wyznanie pokornej duszy kapłańskiej i poradziłem mu, jak mogłem.

Upłynęło kilka miesięcy od naszego drugiego spotkania. Inne troski pochłonęły umysł. Wtem pewnego dnia zjawia się nasz czcigodny staruszek we Fryburgu, puka do furty klasztornej i prosi o przyjęcie — na zawsze.

„Nie wiele będziecie mieli ze mnie pociechy, bom stary i sterany, dźwigam na plecach sześć krzyżyków, a z tego połowę przechorowałem, ale może jeszcze na coś się przydam".

Napisałem natychmiast do naszego generała, ks. Matulewicza, z zapytaniem, czy można przyjąć do nowicjatu nowego kandydata. Odpowiedział: „Jeśli są cnoty, to przyjmijcie".

Miał ich więcej, niż okazywał nazewnątrz. Przybyła nam siła doświadczona i powaga wieku, której młodzi studenci fryburscy, bardzo potrzebowali.

Upłynęło znów lat kilka, skończyła się wojna, przybyłem na Bielany, zastałem tam ks. Warszawskiego. Zmieniły się teraz role — on był moim przełożonym.

Zawdzięczam bardzo wiele kochanemu Ojcu Stefanowi, ale szczególniej jedną rzecz, której on poświęcał najserdeczniejsze troski swego życia: *jedność i miłość między kapłanami*. Przemyśliwał nieustannie ks. Warszawski, jakby tę jedność i miłość utrwalić. Przeszedł sam ciężkie koleje życia, natrudził się bez miary przy budowie nowego pięknego kościoła, doznał zaciętego prześladowania ze strony zaborczego rządu rosyjskiego, tułać się musiał z parafji do parafji, wyrzucany przez zaborców z zajmowanych placówek, wiedział przeto z własnego doświadczenia, że „biada człowiekowi samemu".

I dlatego wstąpił do zakonu. Kochające wszakże jego serce ciągle się zwracało ku braciom, którzy „pozostali" i kazało mu obmyślać dla nich sposoby braterskiej pomocy.

Nie mogąc nic zdziałać w kierunku organizacyjnym zabrał się do pracy ascetycznej. Może się kiedyś okaże, ile dusz kapłańskich znalazło u niego światłą radę i kochające serce. Będzie to poczet niemały.

Chcąc być pomocnym szerszemu ogółowi braci kapłańskiej postarał się o przetłumaczenie z francuskiego i wydanie dziełka Ks. J. Letourneau p. t. *„Przewodnik Kapłana"* spieszył, naglił, jakby przeczuwał bliski koniec i doprowadził wydanie do skutku w 1930 r. (Warszawa, „Kronika Rodzinna", Podwale 4).

Polskie tłumaczenie „Przewodnika" opatrzył swym listem najzasłużeńszy w Polsce misjonarz, O. Bernard Łubieński.

Weźcie do ręki, Czcigodni Bracia tę książkę, znajdziecie w niej wiele głębokich i praktycznych myśli, a między niemi i tę wielkiej doniosłości:

„Zajmij się zwłaszcza mężczyznami, z wielką słusznością mówiono często, że od stu lat duchowieństwo zbyt wiele poświęcało pracy kobietom, a zbyt mało mężczyznom". („Przewodnik", str. 131).

Polscy kapłani mniej od francuskich na ten zarzut zasługują, ale i nas jest pod tym względem wiele do sprostowania, zwłaszcza w życiu osobistem.

Pozwolisz—pisze Ks. Letourneau — że dla skrócenia dyskusji przytoczę ci tekst powagi niezachwianej, który sam przez się wystarczy, aby pozyskać twoje przekonanie.

„Mam na myśli początek rozdz. I sesji XXII Soboru Trydenckiego (Reforma Obyczajów). Wiesz, w jak tragicznych okolicznościach został ten dekret wydany. Chodziło o położenie tamy skandalom, pozostawionym w spuściźnie po wieku XV, podsycanym przez śmiałe poczynania humanizmu, jakoteż przez pogaństwem przesiąknięte Odrodzenie, spotęgowanym wreszcie przez wichrzenia uczniów Lutra, Kalwina, Henryka VIII, Zwinglego i t. d. Po długich naradach i gorących modłach Sobór z powagą i w skupieniu orzeka:

„Nihil est quod alios magis ad pietatem et Dei cultum

assidue instruat quam eorum vita et exemplum qui se divino ministerio dedicarunt; cum enim a rebus saeculi in altiorem sublati locum conspiciantur, in eos tamquam in speculum reliqui oculos coniciunt ex iisque sumunt quod imitentur. Quapropter sic decet clericos in sortem Domini vocatos vitam moresque suos componere ut habitu, gestu, incessu, sermone aliisque, omnibus rebus nihil nisi grave, moderatum ac religione plenum praeseferant; levia etiam delicta quae in ipsis maxima essent effugiant ut corum actiones cunctis afferant venerationem".

„Rozważ każde słowo tego pięknego tekstu; weź pod uwagę, że zasady tej nauki pozostają niewzruszone. Bądź pewien, że gdyby Sobór Watykański powrócił do swych przerwanych sesyj wyrzekłby te same słowa, by wskazać środek przeciw zgorszeniu czasów obecnych. Wyciągnij stąd odpowiednie wnioski!" („Przewodnik", str. 31).

Pozwoliłem sobie przytoczyć ten dłuższy ustęp z *„Przewodnika Kapłana"*, bo sam nie umiałbym tej rzeczy przedstawić w sposób tak jasny i dobitny.

Wszyscy zgodzimy się na to, że najlepsza apologja Kościoła jest świętość jego kapłanów.

* * *

Obok tej apologji musimy jeszcze w czasach dzisiejszych uciekać się do samoobrony prawnej, gdyż wróg częstokroć zupełnie bezpodstawnie napada na kapłana, aby podkopać w ludzie zaufanie do niego, a przez to osłabić w duszach Wiarę świętą.

Znakomitą podstawę do samoobrony da nam świeżo wydane przez Ks. Biskupa Stanisława Łukomskiego dzieło p. t. **„Konkordat"** (Łomża, 1934, str. 428. Skład główny: Księgarnia „Unitas" w Łomży, cena 3.60 zł.)

Znajdziemy tam coś więcej, niż podstawę do samoobrony Kościoła i czci kapłańskiej.

„Zadaniem niniejszej książki — pisze *dostojny Autor* — *jest ułatwienie zorjentowania się w sprawach t. zw. mieszanych, to jest wchodzących w zakres interesów zarówno kościelnych*

jak państwowych. A zorjentowanie się to ma zapobiec nieporozumieniom, przeszkadzającym zgodnej i owocnej współpracy Kościoła i Państwa".

Konkordat zawarty pomiędzy Stolicą Apostolską i Rzecząpospolitą Polską wszedł w życie z dniem 3 sierpnia 1925 r. Od tej chwili obowiązuje on strony obydwie, Kościół i Państwo, jako prawo kanoniczne i wewnętrzne prawo państwowe.

„Nie wszystkie sprawy styczne między Kościołem a Państwem polskiem — pisze Ks. Biskup Łukomski — mogły być w Konkordacie wyczerpująco omówione. Przeto dla nadania przepisom konkordatowym odpowiedniej interpretacji, dla wyjaśnienia znaczenia myśli lub zakresu tych przepisów i dla określenia sposobów ich stosowania w praktyce, Stolica Apostolska i Rząd polski wyłoniły swoje delegacje, które powyższe sprawy rozpatrują i doprowadzają do pożądanego uzgodnienia".

Komisję Papieską do spraw konkordatowych w Polsce stanowią: Ks. Biskup Henryk Przeździecki, jako przewodniczący, oraz Ks. Biskup Adolf Szelążek i Ks. Biskup Stanisław Łukomski.

Komisja Papieska i Komisja Rządu opracowały, uzgodniły i ogłosiły odpowiednie ustawy, rozporządzenia, okólniki, które w dziele Ks. Biskupa Łukomskiego zostały zebrane i podane jako oficjalny komentarz do poszczególnych artykułów Konkordatu, niemal podręcznikowo.

Układ podręcznika jest bardzo przejrzysty i praktyczny.

Na początku znajduje się *autentyczny i oficjalny francuski tekst Konkordatu* zawartego między Stolicą Apostolską i Rzecząpospolitą Polską, podpisanego przez obie strony 10 lutego 1925 r. wprowadzonego w życie z dniem 3 sierpnia 1925 r. i usuwającego na bok wszelkie sprzeczne ustawy i rozporządzenia wydane przedtem bądź przez Rosję, Austrję i Prusy, bądź przez Polskę.

Po tekście Konkordatu idą ustawy duszpasterstwa w Armji polskiej podane w języku łacińskim a będące rozwinięciem Art. VII Konkordatu.

Następuje bulla Papieska *„Vixdum Poloniae Unitas"* z dnia 28. X. 1925 r., określająca granice diecezji polskich obrządku łacińskiego. Dalej znajdujemy autentyczny przekład Konkordatu na język polski, usuwający braki i nieścisłości innych przekładów.

Do każdego artykułu Konkordatu zostały dodane *„Uwagi"*, które stanowią oficjalny komentarz prawa konkordatowego i zawierają ogłoszone już i obowiązujące ustawy, rozporządzenia, okólniki i t. p. Zostały pominięte tylko takie, które w najbliższym czasie ulegną zmianom lub odwołaniu.

Konkordat i „Uwagi" stanowią główną część dzieła.

W II części dzieła czyli w „Dodatku" zostały umieszczone wyjątki z Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, ustawy, rozporządzenia, okólniki, wyroki sądowe i t. p. związane z działalnością administracyjną, wychowawczą i oświatowo-społeczną Kościoła i duchowieństwa.

Cenna praca dostojnego Autora powinna się znaleźć w rękach nietylko kapłanów, ale i urzędników państwowych i uzgodnić wspólne wysiłki podejmowane dla dobra Kościoła i Narodu.

* * *

Jeszcze jedna sprawa, ze wszystkich najbardziej paląca—żydowska.

My, kapłani, musimy się zdobyć na coś, bardzo stanowczego, aby przyśpieszyć jej pomyślne rozwiązanie.

Kto przeczytał wydaną w tym roku książkę ks. Dr. Stanisława Trzeciaka p.t. *„Mesjanizm a kwestja żydowska"*, ten musiał dojść do przekonania, że tego problematu nie można dłużej omijać.

Ponieważ nie wszyscy kapłani znają niezmiernej doskonałości pracę ks. prof. Trzeciaka, dlatego na tem miejscu również o niej wspominamy i przy sposobności stawiamy wniosek praktyczny: urządzać na podstawie dzieła Ks. prof. Trzeciaka po parafjach odczyty ludowe i doprowadzić uświadomienie do tego stopnia, żeby

1. usunąć ze wsi wszystkich żydów,

2. odciągnąć lud od sprzedawania wytworów wiejskich w ręce żydowskie, innemi słowy: *oczyszczenie wsi i blokada miast.*

Fala nienawiści przeciwko żydom wzbiera w całym świecie i w Polsce, Żydzi sami tę nienawiść wywołują jak im to powiedział J. Em. Ks. Kardynał Kakowski.

Ujmijmy ten odruch w nasze ręce i pokierujmy nim skutecznie ale po chrześcijańsku, aby uniknąć smutnych ekscesów, do jakich może doprowadzić prowokacja żydowska.

Jako zachętę do tej akcji pozwolę sobie przytoczyć list jednego z czytelników „Pro Christo", otrzymany z Krakowa.

15. VIII. 1934.

WIELCE CZCIGODNY I WIELEBNY KSIĘŻE REDAKTORZE!

Przeczytawszy w ostatnim zeszycie „Pro Christo" artykuł „O nowy cud nad Wisłą", ośmielam się skreślić parę słów w związku z powyższym.

Już w ciągu ostatnich lat napastowała mnie często myśl, która w miarę, jak warunki naszego życia stają się coraz boleśniejsze, a fala wszelkiego zła zalewa nie do zniesienia nasz nieszczęśliwy kraj—wprost nie daje mi chwili spokoju.

Dlaczego Duchowieństwo nasze i Episkopat, wszak odpowiedzialni przed Bogiem za wszystkie dusze ginące w rozpaczy i upadku, ustosunkowują się tak obojętnie do wszystkiego, co się u nas dzieje? Dlaczego nie wypowiedzą otwartej, zdecydowanej walki szatanowi, którego wcielenie dla żadnego umysłu choć trochę myślącego i umiejącego obserwować życie, teraz już tajnem nie jest?

Dlaczego nie wskazują wyraźnie tego szatana i jego wpływów, nie ostrzegają ludzi ginących moralnie i materjalnie dla tego tylko, że sami za mało są uświadomieni, aby wiedzieć, co im grozi, kogo powinni się wystrzegać i unikać, z czyich szeregów idzie śmierć dla ich dusz i ciał?

Dlaczego swojem milczeniem ułatwiają zadanie szatanowi, a nawet, o zgrozo! ileż razy własem poparciem i dostarczaniem

środków materjalnych przyspieszo¹ą i wzmagają jego zupełny tryumf?

Czyżby wielka potęga materjalna i ilościowa tych wcielonych szatanów do tego stopnia ubezwładniała naszych duchownym przewodników?

Co ten stan wywołuje? — brak odwagi, czy tak częsty nawet u ludzi duchownych — materjalizm i egoizm? Bo niema dwóch zdań, że uczestnik konferencji, o którym Wiel. Ks. Redaktor w swoim artykule wspomina, ma najzupełniejszą rację: żydzi i tylko żydzi, ich piekielne wpływy, **prasa, pieniądze, kupieni służalcy** (podkreślenia korespondenta, przyp. red.) *robią z nas wszystkich to, czem się z każdym dniem więcej stajemy: bezbożników, zdrajców, zbrodniarzy, złodziei i t. p. Bez żydów to wszystko nie byłoby możliwe, bo Polak nie ma złych, a tembardziej zbrodniczych skłonności (chyba mieszaniec) jest tylko z małemi wyjątkami, nieopowiedzianie wpływowy, łatwowierny, bezmyślny, egoistyczny, pozbawiony nie tylko jakiegokolwiek rozumu życiowego, ale wprost zwierzęcego instynktu samozachowawczego. Żydzi zaś umieją to wszystko piekielnie wykorzystywać!*

Inna rzecz, że nie pałką należy żydów unieszkodliwiać. Tylko wytrwały, ofiarny bojkot i jaknajściślejsze izolowanie całego społeczeństwa od morowej zarazy, jaką oni niosą wszędzie gdzie tylko stąpią, może to straszne nieszczęście, jakiem jest obecna deprawacja narodu, z czasem usunąć.

To wielkie apostolskie zadanie ratowania miljonów dusz ginących, musi wreszcie podjąć całe Duchowieństwo, które jedynie ma wystarczający po temu autorytet, jeżeli nie chce doczekać może nawet bliskiej chwili — zatraty całej swojej owczarni. Takich warunków jak obecne, takiej powodzi wszelkiego zła, nieszczęść, zbrodni nie wytrzymają długo żadne nerwy, nawet najsilniejsze.

Trzeba koniecznie zarządzić **jakieś masowe błagalne modły** (podkreślenia korespondenta, przyp. red.) *jak w r. 1920, żeby wymusić miłosierdzie Boskie, przemienienie tego wszystkiego*

co nas obecnie niszczy i zabija, tej strasznej niepewności jutra, tych bluźnierczych myśli napastujących ludzi, że Bóg nas zupełnie opuścił i oddał na stałe w wyłączne władanie żyda — szatana. A stać się to musi możliwie szybko, jeżeli coś ma być ocalone, jeżeli wszyscy nie mają skończyć samobójstwem lub szaleństwem.

Przepraszając najmocniej za tak długi list, ośmielam się wyrazić najgłębszą cześć i hołd, że Wielebny Ksiądz Redaktor jest jednym z tych nielicznych wyjątków, którzy na tę błogosławioną, ale zarazem ciężką, a nawet niebezpieczną drogę ratowania Polski już weszli".

Pozostawiam Czcigodnym Konfratrom do oceny i uznania ten głos serca miłującego Kościół i Polskę. Przybywa takich coraz więcej. Rośnie świadomość niebezpieczeństwa i potrzeba samoobrony w szeregach katolików świeckich.

Dzięki Bogu. Będziemy mieli ułatwioną pracę, bo dotychczas spotykaliśmy się przeważnie z tępotą i obojętnością.

* * *

Jeszcze słówko na zakończenie. Żeby się nie wściec samemu w walce z szatanem, trzeba się trzymać Serca Jezusowego. Apostolstwo Intronizacji jest piorunochronem. Z tej dziedziny polecam rzecz nową, książeczkę o 224 stronicach małej 16-ki napisaną przez *Ks. Artura Milani* p. t. *„Wielka obietnica"*. — Rozważania i przykłady na dziewięć pierwszych piątków miesiąca. Z oryginału włoskiego przełożył ks. Henryk Demrych, ze Zgromadzenia Boskiej Opatrzności. Zduńska Wola, 1934. Wydawnictwo Księży Orionistów. W ciągu paru lat książeczka doczekała się we Włoszech 500 tysięcy nakładu. Cena 1 zł. czyni ją przystępną dla każdego nawet w tych czasach kryzysu.

W walce z szatanem zwycięży Eucharystyczne Serce Jezusowe.

Ks. M. Wiśniewski.

Skończyć prędzej z tą „sprawą"!

Powikłana piekielnie sprawa żydowska jest główną przyczyną wszelkich powikłań narodowych i międzynarodowych.

Kto tego jeszcze nie widzi i nie rozumie, tego powinien przekonać ostatecznie następujący argument.

Faktem jest niezaprzeczalnym, że najwznioślejszą modlitwą, jaką zna ludzkość, jest *„Ojcze nasz"*. Modlitwę tę odmawiano na wszechświatowych zjazdach badaczy religij, bo wznioślejszej nie znaleziono. Między innymi fakt podobny miał miejsce w Ameryce za Kardynała Gibbousa.

„Ojcze nasz", modlitwa, której nauczył nas Chrystus, jest zatem modlitwą ludzkości.

I nie tylko modlitwą, ale programem życia jednostkowego i zbiorowego. W niej ludzkość cała ma wskazany cel: chwała Boża i nasze szczęście w Bogu—*„Święć się Imię Twoje. Przyjdź Królestwo Twoje"!* W niej odnajduje drogę wiodącą do celu: *„Bądź Wola Twoja"!* W niej ma środki: *„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj"*. W niej szuka uwolnienia od przeszkód stojących na drodze: grzech, pokusy i wszelkie zło fizyczne.

— *„Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie. Ale nas zbaw ode złego. Amen"*.

Program zawarty w *„Ojcze nasz"*, najgłębszy, najmądrzejszy, najwznioślejszy, jaki kiedykolwiek powstał w ludzkości, jest urzeczywistniany powoli, stopniowo, ale z niezłomną konsekwencją. Dokonywa tego Chrystjanizm, który jest rozszerzonem *„Ojcze nasz"*. Kościół Chrystusowy dźwiga i uszlachetnia ludzkość; oświeca i poucza w sprawach doczesnych i wiecznych; podnosi z nędzy materjalnej i zbawia „od złego"; broni od pokus i ponent do grzechu; odpuszcza winy błądzącym; karmi chlebem codziennym dusze i ciała, prowadzi jednostki i narody drogą Woli Bożej i Boskich Przykazań do Królestwa Bożego i uwielbienia Stwórcy.

Chrystjanizm jest najwyższą religją ludzkości — to drugi

fakt niezaprzeczalny, to nieustanne „Ojcze nasz" życia miljonów, które rosną z roku na rok i sięgają już połowy ludzkości.

Rozwój chrześcijaństwa w świecie byłby, po ludzku sądząc, nierównie szybszy, gdyby nie „szalone" przeszkody stawiane mu na drodze przez przewrotną i zbrodniczą wolę ludzką a w pierwszym rzędzie przez żydostwo. Nazywamy je „szalonemi", bo szaleństwem jest walczyć z Bogiem i burzyć własne szczęście. Główną rolę w tej „bogobójczej i chrystobójczej" walce odgrywają żydzi. To trzeci fakt niezaprzeczalny.

A wobec tego kto ośmieli się zaprzeczyć, że główną przeszkodą do odrodzenia się ludzkości w Chrystusie są żydzi? Kto zaprzeczy, że główną przyczyną powikłań narodowych i międzynarodowych jest piekielnie powikłana *„sprawa żydowska"*?

Jest to bez przesady „piekielne" powikłanie, bo gdzie mamy do czynienia z grzechem i to grzechem tak potwornym, jak bogobójcze zamordowanie Chrystusa, największego Przyjaciela i Dobroczyńcy ludzkości, tam bez wątpienia działa ręka piekła.

Utnijmy tę rękę, wyzwólmy dusze z jarzma grzechu i zbrodni, wróćmy wszyscy do Chrystusa i wprowadźmy w życie Jego *„Ojcze nasz"*, a znikną wszelkie powikłania, ludzkość poczuje się jedną rodziną Bożą, mającą jednego wspólnego Ojca w niebiesiech.

Nie dokona się tego bez rozwiązania „sprawy żydowskiej", i to rozwiązania nie połowicznego, ale całkowitego, radykalnego.

Takiem radykalnem rozwiązaniem „sprawy żydowskiej" może być tylko Chrzest.

Do tego muszą dopomóc sami żydzi, boć to przecież o ich skórę chodzi.

1. Żydzi ochrzczeni, do roboty!

Rozmawiałem wielokrotnie z nawróconym i ochrzczonym Żydem p. Fryderykiem Pistolem. Opowiadał mi, że już kilkudziesięciu Żydów do Chrztu św. przygotował.

Ostatniemi laty pracował w parafji Wszystkich Świętych w Warszawie i otrzymywał od proboszcza, Ks. Prałata Godlewskiego kilkaset złotych miesięcznie na tę robotę.

— Jestem stróżem—mówił do mnie—i odmiatam śmiecie od kościoła. Byle kogo nie wpuszczam.

— Jak rozwiązujecie zagadnienie narodowości? — pytam go na wstępie.

— Chcemy zachować narodowość, żyd po Chrzcie nie przestaje być żydem. Kościół ze wszystkiemi narodami tak postępuje.

— Bardzo słusznie. Takie rozwiązanie odpowiada najzupełniej naszym zasadom katolickim i polskim. Nie chcemy odbierać nikomu przez Chrzest św. jego narodowości, jak również nie życzymy sobie domieszki krwi żydowskiej do naszej. A więc odrębne, odosobnione gminy żydowsko-katolickie, czy tak p. Pistol?

— Tak.

— I jeszcze jedno: Chrzest nie powinien dawać żydom żadnych korzyści politycznych, a więc ani równouprawnienia. Czy zgadza się Pan na to, p. Pistol?

— Żydzi ochrzczeni nie powinni zajmować stanowisk kierowniczych: generałów, ministrów, sędziów i t. p.

— To za mało. Jeśli otrzymają równouprawnienie, dojdą do wszystkiego, prawda p. Pistol? Trzeba więc odjąć im równe prawa, aby przyjmowali Chrzest całkiem bezinteresownie, prawda?....

.... Pan Pistol kręcił głową.

— Idę dalej: żydów nieochrzczonych trzeba z Polski wywalić. Innej rady nie widzę.

— Niech ksiądz tak nie mówi. Żydzi—to jest dobry naród. Ja kocham mój naród. Ja księdza przekonam"....

Dotąd mnie jeszcze nie przekonał. Odpowiedź Ks. Arcybiskupa Warszawskiego, J. Em. Kardynała Kakowskiego utwierdziła mnie jeszcze więcej w powziętem przekonaniu.

Próbowałem natomiast przekonać p. Pistola o innej prawdzie i to mi się całkiem udało.

— Ilu Szanowny Pan nawrócił w ciągu długiej, kilkudziesięcioletniej pracy misyjnej?

— Około osiemdziesięciu — odpowiedział.

— Czy między nimi istnieje jakiś związek ściślejszy? czy dają ofiary na pracę misyjną wśród żydów?

— Nie, — odpowiedział z pewną goryczą w głosie.

— To zły znak. Jeśli Chrzest jest dla nich prawdą i szczęściem, to powinni się starać, by go ułatwić rodakom i na ten cel składać hojne ofiary. Mają przecież z czego, dorobili się na Chrzcie. Niesłuszna rzecz, abyśmy jeszcze my, katolicy, na to łożyli, gdy mamy tak wiele potrzeb własnych.

Przyznał mi rację. Powtórzyłem mu to jeszcze parę razy przy nadarzonej okoliczności.

I na tem koniec. Żadnego skutku. Wobec tego zwracam się dziś publicznie do Żydów ochrzczonych i wołam:

Jeśli wierzycie w Chrystusa i szczerze przyjęliście Chrzest św., to doprowadźcie do wiary waszych współrodaków. W każdej diecezji są związki misyjne. Złóżcie odpowiedni fundusz na ręce miejscowego Biskupa, poproście o utworzenie misyjnej sekcji żydowskiej i zabierzcie się do swoich.

Jeśli tego nie uczynicie, okaże się, że prawdą jest to, co o was pisze jeden z waszych, nawrócony obecnie i już kapłan katolicki Ks. Juljan Unszlicht: „Jezus, znając tajniki ich serca, nie ufa i nie udziela się im. Te słowa św. Jana doskonale charakteryzują t. zw. *nawrócenia żydowskie*, zazwyczaj nietrwałe we wszystkich niemal okresach, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, kiedy to się tyle mówi o bliskim *powrocie Izraela*, gdy tymczasem Izrael rozwija wielką akcję przeciw Kościołowi, a *nawróceni* żydzi milcząco im w tem pomagają. Oczywiście, nie mam tu na myśli prawdziwych nawróceń, opartych na wewnętrznem przekonaniu i przypieczętowanych stygmatem cierpienia za sprawę Chrystusową" *(Życie i nauka Jezusa Chrystusa w zarysie" str. 15)*.

Jeśli jesteście prawdziwie nawróceni, dajcie świadectwo prawdzie, a jeśli tego nie uczynicie, to nie miejcie nam za złe, jeśli mimo waszego chrztu będziemy was uważać po dawnemu za „parchy" na ciele chrześcijańskiego narodu. Rozumiecie?

Ks. Unszlichtowi, który już od 10 lat pracuje wśród robotników polskich we Francji, radzimy serdecznie, aby naszych robotników zostawił komu innemu, a sam wrócił do Polski i zabrał się do swoich rodaków, w czem go nikt inny nie wyręczy, byle tylko zachował warunki wyżej postawione: Chrzest św. nie daje żydowi ochrzczonemu równouprawnienia politycznego.

2. Żydzi nie-talmudyści, do roboty!

Tenże p. Pistol, o którym wyżej była mowa, napisał książeczkę p. t. „Brak ciągłości w Talmudzie" i udowodnił, że Talmud jest jednem wielkiem kłamstwem.

Uczynili to przed nim wymowniej inni pisarze i wykazali jak na dłoni, że Talmud jest dziełem szatańskiej przewrotności.

Zwykle narody bywają gorsze od swojej religji i do jej ideałów nie dociągają się moralnie.

O Żydach trzeba powiedzieć przeciwnie: mimo swego zwyrodnienia i przewrotności jeszcze są lepsi od swego Talmudu i po tysiącoletnich usiłowaniach jego „ideału" jeszcze osiągnąć nie mogą.

Wielu z nich odrzekają się od niego, przynajmniej usty, i posuwają się nawet do twierdzenia, że Talmud trzeba spalić.

Dajcie dowód szczerości i dobrej woli i zamknijcie w Polsce chedery i szkoły talmudyczne, rozbijcie kahały, znieście talmudyczne rabinaty, które nie są wcale kapłaństwem, tylko niewolą waszego ducha, w jakiej was trzymają przeszło 2000 lat i nie pozwalają zbliżyć się do Chrystusa.

Jeśli tego nie uczynicie, będziemy was po dawnemu zwali naszemi „parchami" i odpowiednio z wami postąpimy.

3. Żydzi nie-sataniści, do roboty!

Wytworzył się wśród was związek „satanistów". Należą do niego wasi pierwsi głowacze, ci, którzy kierują waszą polityką wszechświatową.

Cele ich są nie ludzkie, lecz wprost szatańskie. Widzimy ich robotę w Bolszewji, Meksyku, Hiszpanji, na Węgrzech, na Dalekim Wschodzie.

Wszystko się dzieje wedle planu z góry ułożonego. Przedstawił go na I Kongresie Sjonistów w Bazylei w 1897 r. Teodor Herzl, jeden z twórców sjonizmu.

Wykradziono mu jego „Protokóły" w Wiedniu i ogłoszono po raz pierwszy drukiem w 1905 r. w przekładzie rosyjskim z języka francuskiego, a potem w innych językach.

Żydów ogarnęła wściekłość. Poczęli gwałtownie zaprzeczać autentyczności owych *„Protokółów posiedzeń mędrców Sjonu"*, ale to nie wiele pomogło.

W Rosji karzą śmiercią każdego, u kogo znajdą te „Protokóły". (Por. Ks. Dr. Stanisław Trzeciak: „Mesjanizm a kwestja żydowska" str. 134—135; H. Wildecki: „Niebezpieczeństwo żydowskie"; obaj autorowie obficie cytują owe „Protokóły").

Zaprzeczanie autentyczności „Protokółów" przez żydów nic nie pomogło i nie pomoże.

Fakty są od słów wymowniejsze. Tę drogę obrał ks. Dr. Trzeciak w swem niezwykłej doniosłości dziele: *„Mesjanizm a kwestja żydowska"*, gdzie między innemi pisze: „Ponieważ autentyczność tych „Protokółów" ciaśniejsze umysły podają w wątpliwość, ulegając bezwiednie wpływom żydowskim, przeto uchwały tych „Protokółów" zestawiać będę z wypowiedzeniami uczonych żydowskich z różnych krajów i z różnych czasów, a nadto z przebiegiem rewolucji w Rosji i z rządami bolszewickimi w tym kraju.

W tem oświetleniu, t. j. na podstawie argumentów wewnętrznych i na podstawie wprowadzenia w życie uchwał owych „Protokółów", jasnem i widocznem będzie, że pismo to podaje istotnie program żydostwa światowego". („Mesjanizm

a kwestja żydowska" str. 135, Warszawa 1934. Księgarnia Przeglądu Katolickiego, Krak. Przedm. 71).

Cóż wy na to?

Zapytuję nie tylko was ochrzczonych, nie tylko uczciwych wyznawców Mojżesza, ale nawet talmudystów, którzy jeszcze do satanizmu „Protokółów" nie doszli, cóż wy na to?

Musicie urządzić sąd publiczny i prowodyrów „satanistów" wytracić. Dzieło Ks. Dr. Trzeciaka podaje wam dla ułatwienia ich nazwiska.

Zresztą wy je sami lepiej znacie.

Wywieszajcie tę kanalję na suchych gałęziach!

Jeśli tego nie uczynicie, to będzie dowodem niezbitym, że wyście sami tacy: albo szaleńcy albo zbrodniarze.

Wówczas będziemy wiedzieli, co wam nałożyć: kajdanki czy kaftan warjata.

Wybierajcie!

Ks. M. Wiśniewski.

Nieco o warjatach

Jakkolwiek warjaci, czyli umysłowo chorzy są przedmiotem badań psychjatrów i z reguły pensjonarzami specjalnych miejsc odosobnienia, wypadnie jednak pewnej kategorji warjatów poświęcić trochę uwagi i na łamach naszego pisma. Pobudką do tego był artykuł w prasie codziennej, który niesłusznie został przemilczany.

Artykuł ten poinformował czytelników, że w Londynie istnieje bibljoteka, która przyprawia ludzi o utratę zmysłów.

Składa się ona wyłącznie z ksiąg okultystycznych i innych z zakresu wiedzy tajemnej, zawierając ogółem 20.000 tomów z dziedziny czarnej magji, zarówno z okresu średniowiecza, jak i najnowszej daty.

Do osobliwości tej bibljoteki należy, iż wolno korzystać z książek jedynie na miejscu. Wejście—jak wzmiankuje artykuł *„dozwolone jest tylko wybranym"*. Spirytyści, mistrzowie

nauk okultystycznych i ludzie „interesujący się zaświatem” stanowią główny kontyngent klientów tej ponurej bibljoteki, która cieszy się zresztą w Londynie jaknajgorszą sławą, albowiem panuje przekonanie, że w bibljotece tej ludzie „tracą rozum pod wpływem fluidów (? ! ?), wydzielających się z 20 tysięcy tomów literatury okultystycznej”.

Nie da się zaprzeczyć, że istnieją pewne podstawy do takiego twierdzenia. Od dn. 1 lipca 1929 roku, czyli od chwili, w której bibljoteka została otwarta, stanowisko bibljotekarza zajmowało kolejno 11 osób, z których każda bez wyjątku wpada po pewnym czasie w rozstrój nerwowy.

Pierwszy bibljotekarz zwarjował już po upływie dwóch miesięcy od chwili objęcia swego stanowiska. Ten sam los spotkał następcę, który zachorował na manję prześladowczą i umieszczony został w zakładzie psychjatrycznym. Trzecim z kolei był profesor, który pewnego dnia zniknął bez śladu i dopiero po kilku miesiącach odnaleziony został w opłakanym stanie na jednem z przedmieść Londynu. Okazało się, iż na tle rozstroju nerwowego profesor stracił pamięć i nie mógł dostać się do domu.

Po tragicznej historji z profesorem, syn założyciela tej fatalnej bibljoteki, Lunn, podjął się zarządzania nią. I on jednak nie uniknął przykrych następstw; obecnie przebywa w jednej z londyńskich lecznic psychjatrycznych. Zwarjował na punkcie nieśmiertelności i zarówno odwiedzających go, jak i towarzyszy niedoli zapewnia, iż jest nieśmiertelny.

Na miejsce młodego Lunna zgłosił się jego przyjaciel, który również zwarjował po upływie trzech miesięcy. Objawy jego obłędu były niezwykle gwałtowne i podczas pierwszego ataku szału, który miał miejsce w lokalu bibljoteki, młodzieniec zdemolował część urządzenia i książek. Z wielkim trudem zdołano furjata obezwładnić i po nałożeniu kaftanu bezpieczeństwa — przewieźć do domu warjatów. Trzej następni bibljotekarze wpadli w czarną melancholję. Jeden z nich cierpi na chroniczną bezsenność, wsłuchując się bezustannie

w głosy duchów słynnych zmarłych; drugi co miesiąc zmienia swe nazwisko. Jedenasty i ostatni z odważnych bibljotekarzy zwarjował na tle religijnem.

Po jedenastem zachorowaniu dyrekcja bibljoteki nie mogła znaleźć chętnego, któryby zdecydował się objąć to stanowisko. Tragiczny przykład jedenastu poprzedników tak dalece zniechęcił wszystkich kandydatów, iż dyrekcja stała w przededniu zamknięcia bibljoteki. Postanowiono jednak zbadać przedtem historję tych jedenastu wypadków obłędu i czynności te powierzono młodemu uczonemu-psychjatrze Prennowi. Ten zabrał się do studjowania foljantów znajdujących się w bibljotece i po krótkim czasie doszedł do przekonania, iż człowiek nie może zachować normalnej psychiki, czytając stale literaturę okultystyczną. Do obowiązków bibljotekarza należy bowiem gruntowne zapoznanie się z całym posiadanym w bibljotece materjałem.

„Zachowanie w pamięci samych tylko tytułów wszystkich książek, doprowadzić może człowieka do warjacji" — oświadczył dr. Prenn w swej opinji.

W związku z tem orzeczeniem władze angielskie zarządziły, aby funkcje bibljotekarza wykonywane były przez jedną osobę najwyżej w ciągu 3-ch miesięcy, poczem obowiązki te przechodzą na innego kandydata. Władze nosiły się nawet z zamiarem całkowitego zamknięcia tragicznej bibljoteki i wcielenia jej do państwowej bibljoteki londyńskiej. Ze względu jednak na ostatnią wolę założyciela, prof. Lunna, który prosił o *ustrzeżenie* jego „ukochanego dziecka" *przed obcą ingerencją i zachowanie jego niezależności,* władze odstąpiły od swego pierwotnego zamiaru.

Treść powyższego artykułu nasuwa pewne refleksje. Bibljoteka powyższa według wszelkiego prawdopodobieństwa jest bibljoteką masońską. Domysł ten nasuwają fakty: dostęp do niej mają nie wszyscy, a tylko „wybrani"; praktycznie w takich wypadkach „wybranymi" są masoni, lub ludzie mogący się wylegitymować rekomendacją loży; potwierdza ten domysł

okoliczność, że teozofja, okultyzm i inne „nauki” z dziedziny wiedzy tajemnej—do satanizmu włącznie, są gorliwie popierane i szerzone przez masonerję, aby ludzi od prawdziwej religji odwodzić, mącąc im w głowie zastrzykami różnych bajek teozoficzno-okultystycznych, lub też robiąc z nich satanistów.

Skutki tego są aż nadto widoczne. Niżej podpisanemu zdarzało się niekiedy mieć do czynienia ze zwolennikami okultyzmu, spirytyzmu i t. p. Wszyscy ci ludzie czynili dziwne wrażenie: lubowali się w mętnej i abstrakcyjnej frazeologji, w mistycyzmie; odznaczali się bogatą fantazją, cechującą zresztą każdego warjata. A byli to dopiero początkujący w tej „wiedzy”. Co się zaś tyczy książek okultystycznych, to ich czytanie wprawia w dziwny stan: moralny człowiek, po przeczytaniu kilkunastu wierszy, już czuje zamęt w głowie: czytając np. wiersz 15-ty — traci wątek, przestaje rozumieć, co czyta, zapomina początku, przewodniej myśli zrozumieć nie może, bo mu się ona, o ile wogóle istnieje, co chwila wymyka. Cóż dopiero w umyśle ludzkim dzieje się, skoro trzeba go karmić bredniami stale lub przez czas dłuższy! Nie trzeba dowodzić, że obłęd w tym wypadku jest jaskrawym i namacalnym dowodem kary Boskiej na ludzi, którzy odwracają się od religji prawdziwej, a przyswajają sobie jakiś jej surogat w postaci teozofji, spirytyzmu, czy tym podobnych błędów.

Jak ciało ludzkie potrzebuje zdrowego i posilnego pokarmu — tak niemniej i duch. Skoro ciało zaczniemy żywić surrogatami — to je czasem zatrujemy, bo surrogaty, jakkolwiek mogą być łudząco podobne do artykułów prawdziwych—w istocie są truciznami; rzecz ta jest dobrze znana pamiętającym czasy wojny światowej, kiedy przeżywający je musieli „odżywiać się” przeróżnemi namiastkami.

Podobnież się rzecz przedstawia i z życiem duchowem; człowiek musi w coś wierzyć, coś, czy kogoś kochać, coś czcić.

Dopóki wierzy w Boga, Jego czci i Jego kocha — to jest na dobrej drodze i duch ludzki karmiony jest zdrowym pokarmem; wiara w Boga i miłość Boga—nikomu jeszcze nie za-

szkodziła; wszyscy Święci byli konsekwentnie mądrzy, ich duch niezatruty— podtrzymywał nawet ich siły cielesne.

Jeżeli jednak człowiek od Boga się odwróci—to zacznie konsekwentnie czcić coś innego, jakiegoś innego bożka.

Zależnie od bożka, którego czcić zacznie—na następstwa nie będzie czciciel długo czekał, zwłaszcza, kiedy chodzi o tak zdradliwy i niebezpieczny surrogat religji — jakim jest okultyzm lub satanizm; tem niebezpieczny, że pozornie fałszywej wzniosłości i wypaczonej, wynaturzonej duchowości—uwodzący skądinąd nawet zrównoważone umysły.

Świat katolicki jest przestrzegany przed błędami, w szczególności przed szkodliwą literaturą: czujna Stolica Apostolska w tym celu ustanowiła Indeks ksiąg zakazanych, których niepowołanym ludziom czytać nie wolno, właśnie ze względu na zdrowie ich duszy.

W § 12 swej konstytucji „Officiorum ac munerum" z d. 25 stycznia 1896 r. Papież Leon XIII wyraźnie traktuje o dziełach okultystycznych:

„Surowo wzbraniamy wydawania, czytania lub przechowywania książek, które pouczają lub polecają przesądne losowania, wróżbiarstwo, magję, wywoływanie duchów i inne tym podobne zabobony" [1]).

Świata protestanckiego, wyznającego zasadę wolnego badania—niema kto ostrzegać poza zdrowym rozsądkiem—czego następstwa powyżej podajemy. Wolność więc w sensie rewolucyjnym, nie uznająca autorytetu nadprzyrodzonego przynosi skutki fatalne.

„Patrzcie, by was kto nie oszukał przez filozofję i próżne omanienie według ustawy ludzkiej, według żywiołów świata, a nie według Chrystusa" (Kolos. II.8)—te słowa św. Pawła są

---

[1]) Caput V. De quibusdam specialis argumenti libris. „§ 12. Nefas esto libros edere, legere, aut retinere, in quibus sorfilegia, divinatio, magja, avocatio spiritum, aliaque huius generis superstitiones docentur vel commendantur". p. obszerniej X. Wł. Szczepański „Nowy Indeks książek zakazanych" Kraków 1903.

najlepszym morałem powyższej notatki dziennikarskiej, będącej większego znaczenia, niżby się to na pierwszy rzut oka wydawało.

J. Dobrowolski.

Jak się pisze historję.

W lipcowym n-rze „Pro Christo" w jednym z odnośników do artykułu „Rola i znaczenie demokracji" zaznaczyliśmy, że dzieła historyczno-naukowe są zaprawiane fałszerstwem. Nie chcąc być gołosłownymi—przytoczymy na poparcie swego twierdzenia przykład.

Przykładem tym jest „Historja Powszechna" zeszyt 6.—pod redakcją prof. Henryka Mościckiego i Jana Cynarskiego; autorzy—czy autor właściwy—jest anonim. Wydawana jest ta historja przez jakąś firmę „Kultura i Wiedza".

Nazwiska pp. redaktorów również nie są żadną firmą. Prof. Mościcki znany jest ze swych odczytów przez radjo, gdzie pewnego razu gorąco polecał studjowanie między innemi dzieł żyda Spinozy, kwalifikując je, jako „przeczystą krynicę myśli ludzkiej"; zaś nazwisko p. Cynarskiego wogóle nic nie mówi.

Uczono nas (choć to dawno było), że dzieło zatytułowane „historja" musi charakteryzować bezstronne podanie faktów wraz z przyczynowym związkiem między niemi; historyka powinien cechować objektywizm czyli przedmiotowość, bez względu na to czy autorowi dane fakty przypadają do gustu, czy nie. Wtedy dzieło badacza-historyka jest dziełem wartościowem.

Jak dalece „Historja Powszechna" tym warunkom odpowiada—to właśnie rozważymy. Tem łatwiej to przyjdzie, gdyż ten jej zeszyt traktuje o rewolucji rosyjskiej, której przebiegu było się naocznym świadkiem, zaś z czasem uzupełniło się wiadomości o niej z różnych źródeł; można przeto sobie sąd o wartości „Historji Powszechnej" wyrobić.

Przyczynom rewolucji 1917 roku autor poświęca trzy stronice, sięgając do wspomnień o roku 1905, o którym tak pisze:

„Rewolucja 1905 roku, która po raz pierwszy poruszyła ze snu wiekowego ogromne masy, zaludniające wielkie imperjum rosyjskie, zakończyła się klęską. Nie pomogło nic bohaterstwo i poświęcenie jednostek; broń strejku powszechnego, który w październiku 1905 roku zaskoczył i oszołomił sfery rządowe, z czasem stępiała; niekorzystna dla obozu rewolucyjnego próba sił, której wyrazem było zbrojne powstanie w grudniu 1905 roku na ulicach Moskwy, zniechęciła masy ludowe do dalszych wysiłków. Proletarjat miejski i inteligencja radykalna nie zostały w dostatecznej mierze poparte przez chłopów. Rewolucja upadła, a wzmogły się w społeczeństwie prądy reakcyjne, które umożliwiły przez szereg lat sprawowanie reakcyjnych i mściwych rządów przez Stołypina oraz jego następców".

Jeżeli do tego urywka, tchnącego melancholją czy źle tajoną wściekłością, że rewolucja 1905 roku nie udała się, dodamy takie wyrażenia, jak: „Klika rządząca", „Stołypin, a wraz z nim całe otoczenie carskie, bało się powrotu rewolucji i tą bojaźnią tłumaczy się niesłychana mściwość i zaciekłość w stosunku do działaczy minionej epoki", „carat", „masy ludowe", nastroje tak zwane „hurra-patrjotyczne" i t. p. często powtarzające się, to już z pierwszych stronnic oczywistem jest, że „Historja Powszechna" wcale nie jest nacechowana objektywizmem, a właśnie subjektywizmem; autor załatwia swoje osobiste porachunki z cesarkim rządem rosyjskim, dając wyraz swej antypatji do niego, natomiast przyjaźnie traktując ruch rewolucyjny—któremu współczuje.

Pozatem autor lubi operować wyrażeniami żywcem zapożyczonemi z politycznej gwary rosyjskiej, jak np. „kadeci", „Zubatowczyzna", których czytelnik polski, nie znający stosunków rosyjskich, ani języka rosyjskiego—nie zrozumie. Na takie okoliczności powinniby zwrócić uwagę pp. redaktorzy i wprowadzić potrzebne poprawki.

Taki stronniczy subjektywizm cechuje cały zeszyt tego pseudo-naukowego „dzieła".

Nie lepiej przedstawia się sprawa komentowania faktu historycznego, jakim była rewolucja rosyjska; naukowe wyjaśnienie jej przyczyny streszcza się w takich ogólnikowych twierdzeniach: „Masy ludowe szybko zrozumiały, że rząd nie jest w stanie zorganizować wojny... Naród rosyjski pojął, że nie może liczyć na cara... ani na jego ministrów... Postanowił zatem wziąć sam w swe ręce losy kraju". Co słowo—to kłamstwo. Taki płytki pogląd i banalne twierdzenia — żadną miarą nie mogą nadawać tej „Historji" miana dzieła naukowego. Tak ważny rozdział, jak omawiający przyczyny rewolucji, w dokumentacji zawiera jeden tylko odnośnik i to powołujący się na... żyda Trockiego (Bronsztejna).

Omawiając zagadnienie uchodźców przed wojskami niemieckiemi—autor znów kłamie, czyniąc społeczeństwu polskiemu zarzut „skrajnego rusofilstwa"; charakterystycznem zaś jest, że illustracja wyobrażająca uchodźców—przedstawia grupę samych Żydów.

Współdziałania dyplomacji, t. zw. „entente'y", w torowaniu drogi rewolucji rosyjskiej anonimowy autor nie zaprzecza, choć podaje to w następujący sposób:

„Byłoby oczywiście śmieszną rzeczą twierdzić, jak to czynili petersburscy reakcjoniści, że sir Buchanan był ojcem rewolucji marcowej; świadczyło to o niezrozumieniu istosty zjawisk politycznych i społecznych. Nie ulega jednak wątpliwości, że dyplomacja Ententy z chwilą, gdy doszła do przekonania, że zabójstwo Rasputina nie skłoni cara, carowej i kamaryli do zaniechania uprawianego przez nich od niedawna germanofilskiego kursu polityki, czyniła wszystko, co mogła, aby liberali ujęli władzę w swe ręce".

Pomijamy tu próbkę stylu naukowego i poważnego tonu, ale nie możemy w imię prawdy historycznej nie napiętnować nowego kłamstwa, zarzucającego cesarzowi i cesarzowej germanofilstwo zresztą bez żadnej dokumentacji ani dowodów.

W istocie nic podobnego nie miało miejsca, bo cesarz rosyjski względem reszty sojuszników koalicji był najzupełniej lojalny—to muszą przyznać mu nawet jego wrogowie.

Omawiając akcję bolszewików — anonimowy autor operuje stale pseudonimami, czyli fałszywemi nazwiskami, tak dobrze znanemi: Trocki, Zinowjew, Kamieniew — ani słowem nie wspominając, że to są Żydzi; rozumie się, najgłębsze milczenie zachowuje autor o współdziałaniu żydowstwa i masonerji w rewolucji rosyjskiej. Żyd Kirbiz — występuje w tej historji, jako Kiereński; przemilczana jest cała jego zdrajcza robota, torująca drogę do władzy skrajnemu socjalizmowi, czyli bolszewizmowi.

Analogicznie przedstawia się „prawda" o rewolucji w Niemczech; przyczyn jej — autor wogóle nie omawia, rozpoczynając ni stąd ni zowąd od buntu w armji i we flocie.

Opisując przebieg rewolucji niemieckiej — autor tak samo, jak poprzednio podaje fałszywe nazwiska hersztów — Żydów.

Jeden z nich nawet swe fałszywe nazwisko Eisner ma zmienione na „Elsner" — co jest winą redaktorów, niedbale robiących korektę. Żyd Kurt Eisner właściwie nazywał się Salomon Kosmanowski, ściślej Silberstein.

Jeden tylko zeszyt dorywczo przejrzany—dostarcza sporo fałszów, można sobie wyobrazić, co warte są poprzednie i co będą warte następne.

Rzecz prosta, żadnej polemiki ani prostowania faktów wszczynać nie będziemy; chcąc wszystkie te przekręcania, niedomówienia i nieścisłości prostować — to trzeba drugą taką historję napisać.

Styl tego dzieła nie jest poważny i spokojny — ale feljetonowo-agitacyjny—co wcale z naukowem dziełem nie licuje; owszem nadaje się i właściwy jest w „Kurjerze Porannym", „Robotniku", czy „Naszym Przeglądzie".

Pokrewne temu „dziełu" tendencyjną kłamliwością i trywjalnością stylu jest inne dzieło, pretendujące do tytułu nau-

kowości, „Polityczna historja Europy w XIX stuleciu" wybitnego masona Karola Leignobos'a, w którem znajdujemy takie kwiatki stylu: „te sądy wojenne odznaczały się djabelnem okrucieństwem", zaś dzieła traktujące o roli rewolucyjnej masonerji, jak np. X. Deschamps „Les sociétés secrètes et la société"—potraktowane tendencyjnie i bagatelizująco.

Nietrudno jest sobie wyobrazić, że czytanie i studjowanie takiego „dzieła" wyda skutki jaknajgorsze. Przeciętny bowiem czytelnik nie będzie sobie zadawał trudu sprawdzania wiarogodności zawartych informacyj, a bezkrytycznie połknie całą tę zwartą masę kłamstw, przekręceń i niedomówień, i, rozumie się, z temi głupstwami w głowie może chodzić całe życie, co więcej nawet, szerzyć je w tych środowiskach, w jakich się obraca.

To są zwykłe skutki drukowanego fałszu. Dlatego też mniej piszemy celem ostrzeżenia ludzi dobrej woli, aby ani uwagi „Historji Powszechnej" nie poświęcali, ani tembardziej pieniędzy na to wydawnictwo nie wydawali. „Historja Powszechna" ani jednego ani drugiego nie jest warta. *J. D.*

W sprawie artykułów o masonerji.

Aby zabierać głoś w sprawie masonerji, niedość jest zaopatrzyć się w literaturę i po przeczytaniu i przewertowaniu materjału—zacząć pisać. Trzeba zachować jeszcze kilka warunków: posiadany materjał trzeba zbadać, czy jest on wynikiem badań najnowszych; następnie trzeba ten materjał nietylko przeczytać, ale przestudjować, czyli zbadać dokładnie, porównać z literaturą dawniejszą literaturę nowoczesną, wreszcie materjał ten już zebrany, trzeba umieć skomentować. Dopiero wtedy należy przelewać go na papier i oddać do druku, aby czytelnikom oddał usługi, wzbogaciwszy choćby cokolwiek ich wiedzę.

Jeżeli te warunki zachowane nie będą to informacja taka

podana w formie artykułu wywrze skutek raczej przeciwny, aniżeli tego chciałby autor.

Tem większa skrupulatność przestrzegana być musi, kiedy rzecz dotyczy takich mistrzów-oszustów, jakimi są masoni, umyślnie puszczający w świat o sobie fałszywe wiadomości.

Przykładem, jak nie należy pisać o masonerji, jest artykuł w tej sprawie, zamieszczony w piśmie naszem w n-rze sierpniowym. Nie będziemy tutaj bezpłodnie polemizować z autorem ograniczymy się tylko do wskazania braków artykułu.

Przedewszystkiem rzuca się w oczy brak określenia genezy i istoty masonerji. Jest to kwestja pierwszorzędnej wagi, bowiem objaśnia i tłómaczy, oraz zrozumiałemi czyni wszystkie dalsze okoliczności towarzyszące wolnomularstwu.

Autor w tej dziedzinie nie stoi na mocnym gruncie, cytuje zdania „jednych" i „drugich"—ale sam nie posiada wyrobionego własnego sądu, jaki powinien cechować badacza; gorzej nawet, jest autor kiepskim kompilatorem; podaje np. fakt historycznego ukonstytuowania się wolnomularstwa, a sam nazywa to „najprawdopodobniejszą opinją o początku masonerji"; podobnież co do istoty i ducha wolnomularstwa—nie znajdujemy żadnych nawet prób dociekań. Wszak wartoby zastanowić się nad tem, dlaczego masonerja tak dąży do ciągłego rozszerzania swych wpływów? dlaczego szerzy ateizm? dlaczego zwalcza chrystjanizm? co jej na tem może zależeć? wszak chrystjanizm nikomu nic złego nie zrobił.

Tego autor wcale nie czyni i te kapitalne zagadnienia zdają się nic go nie obchodzić, co jest z wielką szkodą dla sprawy i dla wiedzy.

Gdzieindziej znajdujemy twierdzenie: „...należy stwierdzić, że mylną jest opinja, jakoby masonerja była stowarzyszeniem jednolitem zarówno co do organizacji wewnętrznej, jak i co do ideologji". — Należałoby poprzeć jakiemiś dokumentami tego rodzaju twierdzenie, a nie głosić gołosłownie coś, na czem autor się nie zna, bo w istocie rzecz się przedstawia wręcz przeciwnie; trzeba zadać sobie trudu przejrzeć roczniki „Revue

Internationale des Sociétés Secrètes", „Historję masonerji i innych towarzystw tajnych", O. Deschamps: „Les sociétés secrètes et la société" — tam autor znajdzie sporo dowodów w postaci cytat z dokumentów masońskich.

Wielce pomocną będzie tutaj doskonała broszura Michel'a „La dictatura de la franc-maçonnerie sur la France", oraz roczniki pisma „Les Cabiers de l'Ordre"; zaś w sprawie genezy i ducha masonerji gorąco polecamy gen. Ludendorffa „Vernichtung der Freimasoneri i dzieło X. B-pa L. Meurin „La Franc-maçonnerie — synagogue de satan".

Mamy grube wątpliwości co do czterostopniowego „rytu angielskiego"— o którym, jakkolwiek badamy wolnomularstwo od kilkunastu lat—słyszymy po raz pierwszy, dowiadując się z artykułu pana D.

Dalej, mówiąc o rycie egipskim—należałoby powiedzieć o nim trochę więcej, niż wyrazić przypuszczenie, że on nie istnieje; zaś pisząc o rycie szkockim — trzeba było choć pokrótce opisać wszystkie 33 stopnie, lub podać dokumentację o nich. Mówiąc o „uświadomieniu wolnomularza — należało określić, na czem to uświadomienie polega, co jest „prawdą" wolnomularską. Cytowana przez autora rota przysięgi masońskiej jest olbrzymio skrócona, a nie całkowita; z artykułu zaś można sądzić, że jest ona cała. Pytanie tak ciekawe, dlaczego masonerja krajów katolickich jest radykalniejsza od masonerji krajów niekatolickich—autor pozostawia bez odpowiedzi.

Kończy zaś autor swe wywody apelem, aby przyjrzano się (podanej przez niego, rozumie się) „historji" masonerji, aby „módz z nią rozpocząć zwycięską walkę",—świadczy to o śmiałości autora; ta jednak zaleta nie jest wystarczającą dla dwóch powodów: 1) podana przez niego historja masonerji—nie jest żadną historją; mętny, chaotycznie zredagowany artykulik, pełny nieścisłości, takiej szumnej nazwy stanowczo nie jest godzien; 2) wzywając do walki z masonerją—trzeba podać trochę sposobów tej walki; nieliczne tylko jednostki wiedzą o tem,

w jaki sposób zwalczać wolnomularstwo, a zwłaszcza, od czego zacząć tę walkę.

Sądząc z niektórych akcentów, autor tak jakby miał intencję wystąpić z drugą rozprawą o wolnomularstwie, a może nawet z całym cyklem. Otóż dla skuteczności jego pracy radzimy, aby baczniej rozejrzał się w posiadanym materjale, zaopatrzył się w najnowsze wyniki badań, dokładnie je przestudjował i przemyślał—a wtedy dopiero zaczął pisać.

Gotową rozprawę radzimy dać do przeczytania kompetentnym osobom—i wtedy dopiero wręczyć ją redakcji. Streszczamy się: omawiany artykuł jest tylko jaskrawym przykładem, jak o masonerji pisać nie należy.

J. Dobrowolski.

Od Sekretarjatu Intronizacji.

Sekretarjat Intronizacji poleca apostołom Najświętszego Serca Jezusowego następujące pomoce apostolskie:

1. *O. Mateo: „Jezus Król Miłości"*, główne źródło do poznania dzieła Intronizacji, mogące służyć jako podręcznik rekolekcyjny dla przygotowania się do apostolstwa Najświętszego Serca Jezusowego . . . 3.50 zł.
dla prenumeratorów „Pro Christo" . . . . 2.50 zł.

2. *„Intronizacja Najświętszego Serca Jezusowego w rodzinach"* — oficjalny podręcznik apostolstwa niezbędny dla kierowników i zelatorów. . . . 1.50 zł.

3. *„Intronizacja czyli panowanie społeczne Najświętszego Serca Jezusowego w rodzinach chrześcijańskich i w narodzie"*, popularna broszurka wydana celem rozpowszechnienia idei Intronizacji i zebrania funduszu na budowę pomnika Najświętszego Serca w Warszawie . . . . 50 gr.

4. *Ustawy Stowarzyszenia „Panowanie Społeczne Najświętszego Serca Jezusa w rodzinach chrześci-*

jańskich" — dla rodzin, które dokonały u siebie Intronizacji i pragną połączyć się w związek . . . 15 gr.

5. *Dokumenty rodzinne* dokonanej Intronizacji . 2 gr.

6. *Obrazy jednobarwne Najświętszego Serca Jezusowego* t. zw. *„Garcia Moreno"*, służące zwykle do Intronizacji:

a) małe 7 × 25 . . . . . . 20 gr.
b) średnie 25 × 35 . . . . . . 40 gr.
c) duże 35 × 50 . . . . . . 60 gr.

7. *Obrazki małe Najśw. Serca P. Jezusa z modlitwą o Intronizację Narodową* dla szerokiego rozpowszechniania, setka . . . . 1 zł.

Takież z *przysięgą żołnierską*, setka . . . 1 zł.

Dla Sekretarjatów Intronizacji opust 25%.

Narodowy Sekretarjat Intronizacji. Warszawa, Praga, Wileńska 63.

Sprawozdania i krytyki.

Liturgika czyli wykład obrzędów kościelnych w krótkim zarysie przyjęty przez Zjazd X. X. Prefektów. Napisał ks. *Kazimierz Naskręcki.* Cena 75 groszy. Skład główny w Księgarni Kroniki Rodzinnej, Warszawa, Podwale 4.

Podręcznik Liturgiki w opracowaniu ks. Kazimierza Naskręckiego odznacza się treściwością i jasnością wykładu i nadaje się nietylko do użytku młodzieży szkół powszechnych i średnich, ale również i do rozpowszechniania wśród dorosłych, którym potrzeba byłoby dać do ręki krótki a wyczerpujący informator o obrzędach i roku kościelnym.

Nie bez znaczenia w czasach dzisiejszych jest niska cena tego podręcznika, dzięki czemu staje się on dostępny dla wszystkich, nawet bardzo skromnemi środkami rozporządzających.

Sposób służenia do Mszy św. z wymową polską. Opracował ks. Antoni Montak. Wydanie VI. Księgarnia Kroniki Rodzinnej, Warszawa, Podwale 4. Cena 15 groszy.

Niniejszy „Sposób służenia do Mszy św." jest wielkiem ułatwieniem przy nauce ministrantury dla chłopców młodszych, nie znających łaciny, gdyż wszystko mają tak podane, jak się czyta a nadto równorzędnie umieszczony przekład polski.

Wszystko to poprzedzone bardzo miłym wstępem, pouczającym o ważności służenia do Mszy św. i dającym wskazówki, jak swoje czynności winien spełniać ministrant, by ta jego służba była na chwalę Bożą i na zbudowanie ludzi.

„Sposób służenia do Mszy świętej" X A. Montaka zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie.

Władysław Deptuła: Akcja Katolicka a organizacje kościelne. Książnica — Akcji Katolickiej № 20 Księg. św. Wojciecha, Poznań 1934 str. 50.

Godne podziwu zjawisko, że człowiek świecki pisze o bardzo czułym punkcie akcji katolickiej ze znajomością fachowego teologa jasno i powabnie. Książeczka, aczkolwiek dosyć techniczna, czyta się z przyjemnością i lekkością. Może i powinna się znaleźć w każdej bibljotece, prywatnej i publicznej, w ręku inteligenta i przeciętnego katolika.

Ks. dr. Stefan Abt.

Zofja Eltz: Godzina anielska. Opowiadania o ulubionych świętych. Tłumaczyła L. Schechtlówna. Księg. św. Wojciecha. Poznań 1934 str. 185.

Przemiłe gawędy religijne o całej galerji świętych: św. Placyd, Matka Barat, Torscycjusz, Elżbieta, Herman Józef, Teresa z Lisieux, Antoni Padewski, Bernadeta Soubirous, Sebastjan, Scholastyka, Franciszek z Asyżu, Imelda, Piotr Klawer. Nie są to całkowite życiorysy, lecz tylko wykroje z życia. Znakomity środek popularyzacji świętych wśród ludu i młodzieży. Nadaje się do gawęd harcerskich, w szkołach, w ochronkach, w domach prywatnych.

Polecona dla wszystkich bibljotek.

Ks. dr. Stefan Abt.

Z bojów o Polskę Katolicką. *„Mędrcy Sjonu"*, piszą w *„protokóle dziewiątym"* na temat stosowania zasad masońskich w sprawie ponownego wychowania narodów, co następuje:

„Stosując zasady nasze, należy zwrócić uwagę na charakter narodu, w którego kraju ma przebywać i działać. Ogólne, jednakowe wszędzie stosowanie zasad tych, przed uskutecznieniem ponownego wychowania narodów na naszą modłę nie może mieć powodzenia. Działając ostrożnie w stosowaniu ich, przekonacie się, że nie minie nawet 10 lat, a charakter najodporniejszy zmieni się, a wówczas nowy naród zaliczymy do już nam uległych".

„Protokóły posiedzeń Mędrców Sjonu" są autentycznym tworem żydowskim. Ustęp wyżej przytoczony podaję według wydania bydgoskiego w kwietniu 1930 r. p. t. *„Wróg przed bramą!"* Demaskuje on wymownie

jedno z zamierzeń żydowskich, od którego zawisło w znacznej mierze opanowanie świata przez żydów. Może nawet w głównej mierze, boć *„taka będzie przyszłość narodu, jakie młodzieży chowanie"*.

W Polsce wielu świadomie lub nieświadomie przyczynia się do tego, żeby młodzież naszą wychować w duchu żydowsko-masońskim.

Tym wszystkim usiłowaniom przeciwstawia się wraz z lepszą częścią społeczeństwa polsko-katolickiego Dr. Stefan Dąbrowski, profesor Uniw. Pozn., a czyni to z taką odwagą przekonań katolickich i z taką znajomością czasów i niebezpieczeństw, że trudno się oderwać od kartek przez niego skreślonych.

Podajemy trzy:

1. *„W sprawie reformy ustroju szkolnego i zasad wychowania publicznego*, dwa przemówienia wygłoszone w Sejmie 26 lutego 1932 r. przez prof. Stefana Dąbrowskiego i posła Jana Korneckiego.

2. *„Ustawa o szkołach akademickich"*, przemówienie prof. St. Dąbrowskiego wygłoszone w Sejmie 20 lutego 1933 r.

3. *„Myśl Katolicka a państwo"*. Kartki z francuskiego tygodnia społecznego w Reims w r. 1933 przez tegoż dostojnego Autora.

Zostawiamy sobie na później szersze omówienie spraw poruszonych, a na razie przytoczymy tylko słowa Szanownego Autora, któremi kończy pierwsze swe przemówienie (str. 27):

„P. Minister (mowa o p. Jędrzejewiczu) tym siłom Kościoła, tradycji polskiej i duchowi młodych pokoleń przeciwstawia ustawę, która uzbraja go w dyktatorskie pełnomocnictwa.

Za pomocą tych pełnomocnictw, jak powiedziała przewodnicząca komisji p. Jaworska, ma być *zmieniona do głębi psychika polska, treść duszy polskiej*.

Zaręczam p. Ministrowi, że pełnomocnictwa nie wystarczą i że okażą się bezsilne wobec tamtych niespożytych wartości i sił, których *żadna ustawa nie ujarzmi*, żadne rozporządzenia nie wtłoczą w ciasne ramy tak formalnie pojętego wychowania państwowego, *pozbawionego treści* religijno-moralnej, narodowej i perspektywy historycznej" *(Oklaski na ławach Klubu Narodowego)*.

Dziwnie się zgadzają słowa *„Protokółów Mędrców Sjonu"* z posunięciami niektórych *„upełnomocnionych ministrów"*.

Słowom prof. Dąbrowskiego można zarzucić tylko to jedno, że nie przekonują łobuzów, ale to już nie jego wina. Łobuzom innych argumentów trzeba.

Bądźmy jednak bezstronni i sprawiedliwi dla wszystkich.

W Sejmie wystrzelono setki argumentów bardzo ważkich w obronie *szkoły wyznaniowej* i mimo wszystko Klub Narodowy ją zaprzepaścił.

Dalsze porażki są następstwem tamtej głównej i decydującej przegranej.

Dzięki Bogu, że się spostrzeżono i błędy się naprawia.

Ale z jakimże trudem.

Ks. M. Wiśniewski.

A. Palacio Valdes: „Grzesznica święta". Str. 256. Nakład Księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu. Wśród współczesnych książek beletrystycznych, które stoją pod znakiem i hasłem szukania nowych dróg i form miło odbija się książka Palacio Valdes'a.

Autor nie kusił się o stworzenie „nowości", lecz sięgnął wstecz po stare hiszpańskie legendy, i oddał zajmującą fabułę „złotej legendy" w uwspółcześnionej szacie, pełnej wdzięku i piękna.

W trzech oddzielnych częściach zamknął dzieje młodej kobiety, która zawarła nieroztropne małżeństwo, i przez wielką połać życia cierpiała pod skutkami swej lekkomyślności.

Jako nieszczęśliwa żona górnika — przestępcy (część I), staje się grzeszną towarzyszką lekarza (część II). To tragedja, która w życiu ma dużo sobie podobnych. Ale autor nie poprzestał na dwuch częściach. Daje część trzecią, przedstawiając pokutę kobiety, która poznała swój błąd. Heroiczne samozaparcie się, cierpienie i wielki ból, stały się aż nadto szorstką włosienicą dla pokutnicy. Oczyściła się jej dusza, a ofiara została przyjęta przed Bogiem.

Książkę powyższą czyta się z wielkiem zainteresowaniem i zbudowaniem zarazem. Jedynie pod względem formalnym zachodzi pewna nieścisłość: Jeżeli autor na oryginalnej okładce dał podtytuł: „De la leyenda de oro", to w przekładzie polskim nie można było dopisać słowa „powieść". Fabuła „Świętej grzesznicy" chociaż napisana w współczesnej, pięknej szacie literackiej, pozostania zawsze opowieścią i legendą tylko, bez pretensji do „powieści".

Książka godna polecenia. *Henryk Zimny.*

U. Nachalnik: Żywe grobowce. Warszawa 1934 str. 295. Niniejsza książka jest ciągiem dalszym „pamiętnika przestępcy", który opuściwszy mury więzienia, po odsiedzeniu ostatniego wyroku, opisuje swoją przeszłość.

Autor przedstawia jaskrawo życie i psychikę więźnia. W świetle własnych przeżyć i bogatego doświadczenia uzupełnia powyższy obraz tem, co spotyka więźnia po opuszczeniu bramy czerwonych murów: brak pomocy materjalnej i duchowej, uczucie poniżenia, wreszcie pragnienie zemsty walczą o lepsze z szczerze często zrobionem postanowieniem poprawy.

Jako motto stawia sobie autor takie słowa: „Wszystkim tym, których los zepchnął w otchłań wyrzutków społeczeństwa, a którzy dążą ku poprawie”...

Podobny zamiar i cel, by opisać przeżycia i nędzę więźnia ku rozwadze współtowarzyszów niedoli,—jest bez zarzutu.

Wykonanie jednak powyższego zadania wypadło mniej szczęśliwie. Książka jest pełna scen tak drastycznych, które budować nikogo nie potrafią, a jako „opisy faktów” są zbyt tendencyjne.

Odnosi się niekiedy wrażenie, jakoby autor świadomie gonił za niezdrową sensacją, bo ta zresztą dzisiaj niekiedy „popłaca”.

Dla tych niedociągnięć moralnych książka może się znaleźć tylko w ograniczonym kole czytelników, i to zwłaszcza tych, których interesuje psychika więźnia i problem więziennictwa.

h. zy.

Emil Ludwig. „Rozmowy z Mussolinim” str. 215. Warszawa, 1934.

Na książkę powyższą złożył się szereg rozmów, które prowadził autor z Mussolinim w Pałacu Weneckim w Rzymie, 1932 roku.

Poruszano szereg tematów społecznych, gospodarczych i ogólnoludzkich, w których autor podsuwał tylko pewne myśli, a Mussolini szerzej o nich się rozpowiadał.

Kąt patrzenia Mussoliniego na pewne sprawy jest bardzo charakterystyczny (np. na zagadnienie władzy, wojny, dyktatury). Poprzez te rozmowy przebija rąbek ciekawej charakterystyki postaci historycznej, jaką już dzisiaj jest Dyktator Włoch.

Rozmowy, chociaż przygotowane uprzednio przez autora, są zbyt doniosłe a przytem tak rozbieżne, że poruszywszy je raz, nie można przejść nad niemi do porządku dziennego na pięciu, lub nawet dziesięciu stronicach.

Niektóre tematy, a także poglądy, straciły już na swej aktualności, bo tempo życia naszej epoki wyciska także swoje piętno na życiu politycznem i społecznem. Poglądy i zdania ludzi nawet genjalnych, trafne przed rokiem muszą uledz dzisiaj przemianie.

Studjum powyższe o „poglądach Mussoliniego” chociaż nie najświeższe, ma swoją wartość literacką i historyczną, i dlatego warto książkę tę przeczytać.

Henryk Zimny